

ALEKSANDER K. SITNIK OFM* – KRAKÓW

WSPOMNIENIA BERNARDYNKI ŁOWICKIEJ WERONIKI KEMPY Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Źródła do historii zakonów w okresie drugiej wojny światowej nadal są rzadko publikowane. Dlatego też bardzo duże znaczenie mają wszelkiego rodzaju kroniki czy też wspomnienia zakonnic i zakonników z tego okresu. Także klasztory bernardynek na ziemiach polskich, dotychczas nie doczekały się opracowań przedstawiających ich funkcjonowanie oraz pomoc ludności cywilnej. Zasadne wydaje się zatem opublikowanie wspomnień łowickiej bernardynki Weroniki Kempy z czasu II wojny światowej, powstałych około 1955 r., a przechowywanych w rękopisie w Archiwum Klasztoru SS. Bernardynek w Łowiczu. Niewielkie fragmenty wspomnianego rękopisu wydała już Anna Ewa Kędracka OSFB w książce *Łowickie Bernardynki* (wydanie 2 poszerzone, Łowicz 2005, s. 64-69) pt. *Pamiętnik wojenny*¹.

Autorka wspomnień, Weronika Kempa, urodziła się 11 października 1899 r., w Połczynie koło Pucka. Na chrzcie otrzymała imię Marta. Bardzo dobrze władała językiem niemieckim, co nie pozostało bez znaczenia w czasie późniejszych kontaktów z okupacyjnymi władzami. Jako młoda dziewczyna wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu, gdzie 8 maja 1923 r. przyjęła habit zakonny. W rok później złożyła pierwsze śluby zakonne (16 VI 1924 r.). Na początku pracowała jako hafciarka, „haftując głównie złotem”. Uroczystość złożenia ślubów wieczystych przeżywała 29 listopada 1927 roku. Po ślubach pełniła funkcję ekonomki i zakrystianki. W okresie okupacji niemieckiej była wikarią klasztoru, a w latach 1952-1958 jego przełożoną. Prowadziła głębokie życie wewnętrzne. Długie godziny spędzała przed Najświętszym Sakramentem. Z narażeniem życia ratowała kapła-

* Aleksander Krzysztof Sitnik OFM – dr historii Kościoła, wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym OO. Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej, e-mail: olo@ofm.pl

¹ Anna Ewa Kędracka OSFB za swoją pracę otrzymała wyróżnienie I stopnia w konkursie *Książka Roku 2005 – Łowicz i Ziemia Łowicka* 19 III 2006 r. Obecnie w klasztorze łowickim pełni funkcję archiwistki. Ze swej strony bardzo serdecznie dziękuję s. Annie za pomoc i cenne rady w czasie mojej kwerendy w archiwum.

nów i osoby świeckie z niemieckich więzień. Pomagała materialnie uchodźcom ze Wschodu i ludności cywilnej wypędzonej podczas Powstania Warszawskiego. Udzieliła schronienia w klasztorze wizytkom, sakramentkom i karmelitankom z Warszawy. Przy końcu życia, pomimo choroby, była uśmiechnięta i „pokorna jak dziecko”. Zmarła w niedzielę, w oktawie Wniebowstąpienia Pańskiego, 11 maja 1975 r. w Łowiczu, przeżywszy 75 lat, z czego 53 lata w klasztorze². Jej *Wspomnienia wojenne* prezentowane są poniżej.

Rok 1939 był bardzo piękny. Wiosna była cudna, a jeszcze piękniejsze było lato. Tego roku były bogate urodzaje i wczesne żniwa tak, że wszyscy mówili: „na pewno stanie się coś niezwykłego”. W naszym klasztorze w zeszłym roku były wybory na nową przełożoną i została wybrana matka Koleta Laskowska³. Matka Apolinarą Kuzawów⁴, która była 9 lat przełożoną, na prośbę sióstr z Wilna pojechała na początku czerwca do Wilna. Matka Koleta zabrała się zaraz na wiosnę z całym zapałem do odnowienia kościoła i klasztoru tak, że pod koniec sierpnia zostały roboty wykończone. Kościół i klasztor wyglądał jak nowy⁵. Ale niestety niedługo miałyśmy się cieszyć tym pięknym klasztorzem. W całym naszym kraju robił się jakiś dziwny ruch i nastrój. Mówią dużo o wojnie. Pewnego dnia przychodzi nakaz, żeby kopać w ogrodzie rowy, jako ochrona przed nalotami.

² A.E. Kędracka, *Łowickie Bernardynki*, s. 170, 172; Archiwum Klasztoru ss. Bernardynek w Łowiczu (dalej: AKBL), rkps b. sygn., *Kronika klasztoru ss. Bernardynek w Łowiczu. 1650-1997*, s. 84, 85, 87, 90, 176-178.

³ Koleta Stanisława Laskowska urodziła się 26 XII 1898 w Łowiczu. Wstąpiła do tamtejszego klasztoru bernardynek w 1918 r., jako młoda absolwentka rosyjskiego gimnazjum. Była penitentką ówczesnego kapelana bernardynek, późniejszego biskupa warszawskiego Wacława Majewskiego. Została obłóczona w habit 31 V 1920 r., zaś 29 VI 1921 r. złożyła pierwsze śluby zakonne. Śluby wieczyste złożyła 30 VII 1924 r. Przez długie lata pełniła funkcję mistrzyni nowicjatu. Wychowała kilka pokoleń sióstr. W latach 1938-1944 pełniła urząd przełożonej klasztoru łowickiego. Przed II wojną światową uczyła w szkole klasztornej matematyki. Zmarła 8 I 1987 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

⁴ Apolinarą Petronela Kuzawów urodziła się 15 VII 1875 w Kłajpedzie (Litwa). Wstąpiła do klasztoru bernardynek w Krakowie, gdzie została obłóczona w habit i złożyła śluby 4 VI 1895 r. Śluby wieczyste złożyła również w Krakowie 9 III 1897 r. Z krakowskiego klasztoru była delegowana na urząd przełożonej bernardynek w Wieluniu. Po sześciu latach pobytu w Wieluniu, wróciła do Krakowa, a następnie została przełożoną łowickiego klasztoru bernardynek. Urząd ten pełniła w latach 1929-1938 i 1944-1949. Była kobietą mężną, mądrą, o bystrym umyśle i szlachetnym sercu, silnej woli, jak również o bardzo głębokim życiu wewnętrznym. Jej sposób bycia tchnął dobrocią i godnością, wskazywał na dużą kulturę wewnętrzną, budził zaufanie. Jako przełożona dbała o wykształcenie sióstr oraz o potrzeby klasztoru wprowadzając nowatorskie, jak na owe czasy wynalazki (studnię z pompą, wodociąg do kuchni, kanalizację, światło elektryczne w kościele i klasztorze). Zmarła 16 IV 1953 r. w Łowiczu. Oprac. Amata Hartman OSFB.

⁵ AKBL, rkps b. sygn., *Kronika klasztoru ss. Bernardynek w Łowiczu*, s. 82.

Wszystkie szkoły zabierają się do kopania rowów i my także. Siostra Kazimiera⁶, s. Teresa⁷ i s. Jadwiga⁸ przygotowują schron przeciwgazowy. Pracują nad tym już parę dni. Siostra Anna⁹ od rana do wieczora lata po mieście po zakupy, żeby

⁶ Kazimiera Marianna Kret urodziła się 26 I 1913 r. w Bednarach koło Łowicza. Wstąpiła do klasztoru bernardynek przyjmując habit zakonny 24 VI 1933 r. W następnym roku złożyła pierwsze śluby (16 VII 1934 r.). Śluby wieczyste złożyła 16 VII 1937 r. Była człowiekiem wielkiego formatu. Zawsze wyczulona na ludzką biedę, zwłaszcza w trudnych czasach II wojny światowej. Szczególnie po upadku Powstania Warszawskiego, gdy młodzież i dzieci Warszawy wraz z dorosłymi wielką falą napływały do Łowicza, wtedy to właśnie oddała dla przybywających bez reszty cały swój talent, siły i wielkie serce. W przyklasztornym Domu Dziecka przyjmowała wszystkich. Wielką troską otoczyła dzieci błakające się po ulicach. Po wojnie pełniła funkcję kierowniczką Bursy, kształtując młode pokolenie. Następnie wychowywała młodzież zakonną, jako mistrzyni nowicjatu. W latach 1958-1981 pełniła urząd przełożonej klasztoru łowickiego. Jej autentyczne skupienie i rozmodlenie udzielało się siostronom, o które ze wszech miar dbała. Kochała liturgię i śpiew gregoriański. Miała piękny głos, którym wszystkich zachwycała. Cieszyła się widząc, że siostry żyją życiem Kościoła katolickiego w trudnych czasach komunistycznych. Została pierwszą prezeską utworzonej w Polsce Federacji Sióstr Bernardynek (1959-1981). Zmarła nad ranem 8 III 2005 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

⁷ Teresa Aniela Podrażka urodziła się 29 XI 1910 r. w miejscowości Niedźwiada koło Łowicza. Ponieważ rodzice wcześniej zmarli, wychowywała się u ciotki w Zielkowicach. Zamieszkała w klasztorze bernardynek w Łowiczu i tu uzupełniała wykształcenie. W posagu wniosła ziemię tzw. Mariówkę, za sprzedaż której siostry opłaciły założenie centralnego ogrzewania w 1957 r. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego, odbyła nowicjat (obłóczona 27 XII 1936 r.) i złożyła śluby (6 I 1938 r.). Śluby wieczyste złożyła 6 I 1941 r. Pracowała jako nauczycielka w przyklasztornej szkole powszechnej, a potem została jej kierowniczką. W czasie wojny w pomieszczeniach szkolnych mieścił się szpital. Po wojnie została przeniesiona do nowo powstałego klasztoru bernardynek w Łodzi, gdzie pracowała jako katecheta. Po sześciu latach wróciła do Łowicza i podjęła pracę w bursie dla dziewcząt, zostając następnie jej kierowniczką. Po zamknięciu bursy przez władze komunistyczne pełniła funkcję zakrystianki. Lubiała haftować. Obowiązki zakonne wykonywała skrupulatnie. Zmarła 1 II 1999 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

⁸ Jadwiga Janina Witkowska urodziła się 23 XII 1901 r. w Ładyżynie na Podolu. Ukończyła seminarium nauczycielskie i przez 16 lat pracowała jako nauczycielka. W 1938 r. wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu. Najpierw uczyła w przyklasztornej sześcioklasowej szkole podstawowej. Habit zakonny przyjęła 22 VIII 1939 r. W życiu zakonnym odznaczała się posłuszeństwem i pokorą. W czasie wojny opiekowała się chorymi w szpitalu. Wyczerpana pracą zapadła na gruźlicę. Na łożu śmierci złożyła śluby wieczyste. Zmarła 10 VIII 1941 r. Pozostawiła po sobie tomiki wierszy, których wiele napisała jeszcze przed wstąpieniem do klasztoru. Odbija się w nich piękno i otwartość jej duszy na tajemnice Bożej miłości, udzielającej się światu w stworzeniu. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

⁹ Anna Wiktoria Cichal urodziła się 6 XII 1895 r. w Zielkowicach (przedmieście Łowicza). Nie skończyła żadnej szkoły, ale miała wrodzoną inteligencję. Została obłóczona 31 V 1921 r., zaś pierwsze śluby złożyła 28 XII 1922 r. Śluby wieczyste złożyła 29 XII 1927 r. Odnaczała się prostotą i pracowitością. Pełniła funkcję ogrodniczki, a po wojnie furtianki, służąc ludziom z wielką troskliwością. Pod koniec życia dokuczał jej silny artretyzm. Po złamaniu nogi w biodrze przestała chodzić. Uwięziona na wózku wiele godzin spędzała na modlitwie. Zmarła 23 VI 1974 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

trochę zapasu zrobić żywności. Siostra Regina¹⁰ robi porządki w pracowni, a ja słucham radia. Tu są coraz to nowe wiadomości. Jednak mi się nie chce wierzyć, że będzie wojna. Aż nagle przychodzi s. Anna zdyszana z miasta i mówi: „prędko kończyć schron, bo Niemcy wydali w nocy wojnę i już Częstochowę bombardują”. To samo radio potwierdziło. A więc mamy wojnę!

Pierwszego dnia było u nas zupełnie spokojnie, jednak coraz większe panuje napięcie, ruch i obawa, i coraz smutniejsze dochodzą wiadomości. Kutno mocno zbombardowane i wiele innych miast między innymi też Wieluń¹¹. Dzień dzisiejszy przeszedł spokojnie, chociaż areoplany latają i syreny wyją. Nam jednak na razie dają spokój, ale ileż to strachu i niepokoju.

Niedziela 3-go września. Msza św. uroczysta z wystawieniem Najświętszego Sakramentu zamówiona przez pracowników fabryki korków. W czasie Mszy św. niedaleko nas naloty. W kościele zrobił się straszny popłoch, bo mury się ruszały, ale wkrótce się wszystko uspokoiło. W tym czasie przychodzi do furty jakiś ksiądz wojskowy z klerykiem i proszą o nocleg. Prawdopodobnie są z Pomorza. Siostra Tekla¹², która była przy furcie, odesłała ich do ks. kapelana¹³. Nasz ks. kapelan wygłosił w czasie Mszy św. pod adresem Niemców ogniste kazanie. Przyjął serdecznie tych dwóch kapłanów i wystawił im suto śniadanie, przy którym też z nimi szczerze rozmawiał. Niedługo znalazła się też jakaś pani doktor, którą oni poszli odprowadzić i już więcej nie wrócili, bo to byli szpiegdy.

Po południu nabożeństwo, jak zwykle w pierwszą niedzielę, podczas którego znowu naloty na stację kolejową. Cały kościół i klasztor się chwiał. Ludzie zaczęli z kościoła uciekać. Tylko jeden ks. kapelan był zupełnie spokojny i starał się wszystkich uspokoić. Na dole w celi u sióstr mamy urządzone schron. Jest to praca s. Teresy i s. Jadwigi. Jak tylko areoplany nadchodzą wszystkie siostry jedna przez drugą spieszą do tego schronu. Najgorzej jest wieczorem i w nocy, bo wszę-

¹⁰ Regina Stefania Jachym urodziła się 24 XI 1904 r. w Jaśle. Została obłóczona w habit zakonnej 12 IX 1929 r., śluby wieczyste złożyła 16 VII 1937 r. Po ekskluaturacji mieszkała przy klasztorze bernardynek w Łowiczu i pracowała w ogrodzie. Zmarła jako tercjarka 24 II 1986 r.

¹¹ W Wieluniu bernardynki mają swój klasztor od 1613 r. H.E. Wyczawski, *Wieluń*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, red. H.E. Wyczawski, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 554.

¹² Tekla Józefa Kapusta pochodziła ze wsi Boczki koło Łowicza. Wstąpiła do klasztoru bernardynek i przyjęła habit zakonnej 6 XII 1921 r., zaś 29 IX 1926 r. złożyła pierwsze śluby zakonne. Śluby wieczyste złożyła 8 IX 1930 r. Jej głównym zajęciem w klasztorze było szycie, zwłaszcza szat liturgicznych. Cicha, niepostrzeżenie przeszła przez życie. Zmarła 20 II 1946 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

¹³ Ks. Józef Kopczewski urodził się w 1906 r., prefekt liceum pedagogicznego w Łowiczu. Był kapłanem bernardynek łowickich w l. 1933-1941. Aresztowany w 1941 w Łowiczu, więziony na Pawiaku, w Oświęcimiu i od 6 V 1942 r. w Dachau. Nr obozowy 30286. Wyzwolony 29 IV 1945. W. Jacewicz, J. Woś, *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945*, z. II, Warszawa 1977, s. 360.

dzie jest ciemno. Światła nie wolno palić. Toteż biedna Mateczka¹⁴ siedzi w tym schronie dzień i noc; ani nie chce słuchać, żeby się położyć.

We wtorek rano przysły do nas trzy siostry z Wielunia: matka Józefa, s. Elżbieta i s. Stanisława¹⁵. Wyglądają okropnie, całe wybrudzone i zmęczone, bo już od piątku idą pieszo z Wielunia. Zaraz pierwszego dnia był u nich na ich klasztor nalot. Klasztor został uszkodzony, a wszystkie siostry się rozpięchły po całej Polsce.

O godzinie 11-tej przed południem naloty i bombardowanie Łowicza, które trwały aż do 6-tej. Trudno opisać, co żeśmy przez tych siedem godzin przeżyły. Byłyśmy wszystkie jak w obliczu śmierci. Nasz ks. kapelan był przy nas. Udzielił nam też ostatniej absencji. Modliłyśmy się jedna przez drugą, a niektóre na głos tak, że aż ks. kapelan mówi do s. Anny, która zdaje mi się najgłośniejsz wzdychała: „siostró, trochę ciszej, bo to jest denerwujące”! Matka Wielebna¹⁶ złożyła uroczyste przyrzeczenie Matce Boskiej Nieustającej Pomocy, że jeżeli my i klasztor ocalimy się, publicznie podziękujemy i złożymy ofiarę. Wieczorem się wszystko uciżyło i mogłyśmy się trochę posilić.

Na drugi dzień już od piątej godziny matka Józefa wybiera się w dalszą drogę i zachęca nas wszystkich, żeby dalej uciekać. Nad ranem przychodzi jakiś człowiek z miasta z taką wiadomością, że wszyscy urzędnicy już miasto opuścili, żebyśmy się też z miasta usunęły, bo Niemcy mają cały Łowicz w gruzy obrócić. A więc mamy uciekać! Posłałam zaraz po ks. kapelana, żeby nam udzielił Komunii św., bo my wyjeżdżamy na wieś. Nigdy nie myślałam nawet w największym niebezpieczeństwie, że ja klasztor opuszczę, a teraz jestem pierwsza. Miałyśmy się podzielić na kilka partii, żeby wszystkie razem nie poszły. Jednak to się nie udało, bo siostry nie chciały się odłączyć od matek. Tylko jedna s. Franciszka¹⁷ skorzy-

¹⁴ Chodzi o s. Gertrudę Jadwigę Ciołkiewicz. Urodziła się 4 IX 1863 r. w Kownie (Litwa). Habit zakonny przyjęła w krakowskim klasztorze bernardynek 19 I 1888 r., a w roku następnym złożyła śluby wieczyste (7 XI 1889). Została skierowana do klasztoru bernardynek w Wieluniu. W 1908 r. rozpoczęła starania o odzyskanie klasztoru bernardynek w Łowiczu. Nieocenionym w tej sprawie okazał się Romuald Oczykowski, działacz społeczny. Po uzyskaniu zgody władz państwowych 18 VII 1918 r., bernardynki z Wielunia przybyły do Łowicza 22 VII tegoż roku. S. Gertruda została jego pierwszą przełożoną w l. 1918-1924. Z wielką gorliwością przy pomocy mieszkańców miasta rozpoczęła porządkowanie klasztoru i kościoła. Była jednocześnie przełożoną, szafarką, ekonomką, furcianką, zakrystianką i sekretarką. Pociągnięte serdecznością i gorącym sercem przełożonej zaczęły zgłaszać się kandydatki do klasztoru. Podczas kanonicznej wizytacji klasztoru w 1919 r. kard. Kakowski wyraził swój podziw i uznanie dla s. Gertrudy, o czym świadczy powizytacyjny list. Zmarła chorując na nowotwór 27 IV 1943 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

¹⁵ Józefa Pęczkowska – ur. 1 III 1883 r., obłóczona 15 X 1908 r., zmarła 30 X 1956 r. w Wieluniu; Elżbieta Kosek – ur. 26 VIII 1910 r., obłóczona 1932 r., zmarła 2 V 1991 r. w Warcie; Stanisława Suleja – ur. 21 I 1908 r., obłóczona 20 V 1934 r., zmarła 31 III 1994 r. w Wieluniu. Archiwum Klasztoru SS. Bernardynek w Wieluniu, sygn. 8, *Domowa książka meldunkowa klasztoru ss. Bernardynek w Wieluniu*, 1931, 6 VII, k. 1v; sygn. 22, *Księga obłóczyn, ślubów pierwszych i wieczystych*, 1844-.

¹⁶ Chodzi o s. Koletę Laskowską.

¹⁷ Franciszka Helena Steinborn urodziła się 18 V 1902 r. w Markowicach koło Strzelna. Była starszą rodzoną siostrą s. Benigny. Ukończyła szkołę podstawową. Została obłóczona 16 V 1932 r., pierwszą profesję złożyła 15 VI 1933 r., zaś śluby wieczyste 14 IX 1936 r. Lubiła dużo modlić się.

stała z okazji i pół Polski objechała. Po Komunii św. wybiegłam zaraz do podwózca i kazałam chłopakowi konie do woza założyć i ulokowałam się pierwsza na wozie. Jedziemy więc: Matka Wielebna, ja, Mateczka, s. Kazimiera, s. Maria¹⁸, s. Józefa¹⁹, s. Hiacynta²⁰ i siostra naszej s. Benigny²¹ z dzieckiem. Mateczka biedna nie w humorze, że jedziemy bez śniadania, toteż nie chce wejść na wóz, ale ze swoim zawiniątkiem pod pachą kroczy obok woza. Nareszcie dała się namówić i weszła na wóz. Wjeżdżamy na miasto. Tam panuje ogromny ruch i przygnębienie. Kto może ucieka z miasta. Dojeżdżamy do Łaguszewa²² do matki s. Józefy i tam się zatrzymujemy. Pomyślałam naprzód o śniadaniu. Poszłam do sklepu, kupiłam kiełbasy, cukru i ciastek. S. Józefa zgotowała nam mleka i herbaty. Chleb miałyśmy z domu, więc było dobre śniadanie. Zajadamy sobie smacznie śniadanie, a tu już reszta naszych sióstr za nami przyszły. W klasztorze zostały jeszcze:

Długi czas była refektarką. Pomagała w różnych pracach. Nigdy się nie skarżyła, nie narzekała. Zmarła 23 XII 1981 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

¹⁸ Maria Zofia Krawczyk urodziła się 25 X 1916 r. w Brzozowie na Podolu. Jej ojciec Aleksander był artystą malarzem. Studiował w Krakowie, Rzymie i Paryżu. Malował u hrabiego Szczęsnego Potockiego na Podolu, u którego jego żona była guwernantką. W ostatnich latach życia zamieszkał z rodziną w Łowiczu. Jego najstarsza córka Zofia wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu. W posagu od ojca dostała obraz św. Józefa, który został umieszczony w bocznym ołtarzu kościoła klasztornego. Została obłóczona 1 VI 1936 r., pierwsze śluby złożyła 6 I 1938 r., zaś wieczyste 6 I 1941 r. Jesienią 1953 r. przeszła do nowej fundacji bernardynek w Dębnie. Fundacja nie utrzymała się, stąd pojechała do klasztoru bernardynek w Wieluniu. Przez 3 lata pełniła funkcję przełożonej. Po pewnym czasie wróciła do Łowicza. Pełniła funkcję furtianki. W 1991 r. przeszła do niedawno odzyskanego klasztoru bernardynek w Warcie. Tam pełniła funkcję wikarii. Zmarła 12 III 1996 r. w Warcie. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

¹⁹ Józefa Katarzyna Urbanek urodziła się 12 XI 1899 w Łaguszewie koło Łowicza. Została obłóczona w habit 31 V 1921, pierwsze śluby złożyła 28 XII 1922, zaś śluby wieczyste 29 XI 1927. Pełniła obowiązki w kuchni, gospodarstwie, jako zakrystianka, a wreszcie najdłużej pracowała w pralni. Odznaczała się umiłowaniem porządku. W czasie bolesnej choroby guza w jelitach cierpiała w milczeniu. Zmarła 7 XII 1983 r. – Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

²⁰ Hiacynta Jadwiga Majda urodziła się 5 X 1894 r. w Drobnicy koło Wielunia. Zgłosiła się do klasztoru bernardynek w Wieluniu. Siostry wysłały ją do szkoły, którą po jakimś czasie opuściła i wróciła do klasztoru jako terejarka. W 1929 r. przyjechała do klasztoru bernardynek w Łowiczu, chcąc prowadzić tu życie zakonne. Habit zakonny przyjęła 20 VII 1930 r., pierwsze śluby złożyła 25 XI 1931 r., a wieczyste 14 IX 1936 r. Ponieważ ukończyła kurs ogrodniczy, została skierowana do pracy w klasztornym ogrodzie. Pracowała z wielkim oddaniem i poświęceniem. Oprócz pracy w ogrodzie wykonywała wiązanki ślubne i pogrzebowe. Miała pod opieką pszczoły. Zmarła 18 IX 1967 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

²¹ Benigna Aniela Wanda Steinborn urodziła się 25 IX 1912 r. w Markowicach koło Strzelna. Ukończyła szkołę zawodową u zmartwychwstanek. Była malarką. Wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu i przyjęła habit 24 VI 1933 r. Pierwsze śluby złożyła 16 VII 1934 r., a wieczyste 16 VII 1937 r. W klasztorze, otrzymawszy wykształcenie muzyczne, pełniła funkcję organistki. Ubiegała życzenia sióstr swoją czynnością. W 1952 r. została wybrana dyskretką. Sumiennie pełniła obowiązki prefekty robót hafciarskich. Swoje cierpienia w czasie choroby ofiarowała w intencji klero ks. Jana Czerwińskiego, który polecił się jej modlitwom. Zmarła w wigilię jego święcen kapłańskich 11 XII 1956 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

²² Łaguszew – wieś w powiecie łowickim.

s. Elżbieta²³, s. Jadwiga, s. Katarzyna²⁴. Te trzy siostry nie opuściły ani na chwilę klasztoru. Na razie zostały z nimi jeszcze: s. Benigna, s. Bernarda²⁵, s. Marta²⁶, s. Anna i s. Salomea²⁷. S. Marta poszła szukać dla ks. kapelana na miasto rowerem i została ranna.

Łaguszew zrobił na nas miłe wrażenie i pogoda też dopisywała, więc można było użyć świeżego powietrza. Niedawno pisała matka Apolinaro do naszej Matki Wielebnej, żeby mnie chociaż na 2 lub 3 tygodnie wysłała na wiejskie powietrze, bo gorączkowałam. Nasza Matka Wielebna nie bardzo się z tym spieszyła, aż tu pan Hitler wysłał nas wszystkie na świeże powietrze, a skutek był niemały, bo wszystkie wyzdrowiały i dostały szalone apetyty. Żadna nie patrzyła, co jest do jedzenia, tylko żeby było dużo. W Łaguszewie miałyśmy na obiad zupełną pomidorową z kartoflami. Wszystkie siostry zjadały z takim apetytem, że była obawa, że braknie. A s. Małgorzata²⁸ nasza kucharka uśmiecha się i mówi: „w domu by siostry tej zupy nie ruszyły, a tu są wszystkie miski puste”.

Po południu o godzinie 2-giej zaczynamy w szkole mówić wspólnie brewiarz, a tu zaczynają samoloty nad Łowicz nadchodzić. Wszystkie siostry się pod ścianę pchały i modlimy się żarliwiej. Samoloty zaś pędzą na nasz kochany Łowicz. Cały budynek i ziemia trzęsą się od bomb. My czekamy, co będzie na koniec. Nareszcie o godzinie 6-tej skończyło się bombardowanie. Wychodzimy na dwór i patrzymy

²³ Elżbieta Janina Stanek przyjęła habit zakonny 19 XI 1935 r., jednak z powodu choroby ukrywanej przed obłóczynami musiała klasztor opuścić.

²⁴ Katarzyna Janina Słomska urodziła się 23 VI 1910 r. w Zielkowicach koło Łowicza. Wstąpiła do łowickiego klasztoru bernarynek. Oblóczona 27 XII 1936, r. śluby wieczyste złożyła 29 XI 1944 r. Zmarła w 2012 roku.

²⁵ Bernarda Jadwiga Jaska urodziła się 20 III 1885 r. w Boczkaach koło Łowicza. Najpierw udała się do Służebniczek Maryi, gdzie prowadziła pracownię szycia. Następnie przeszła do klasztoru bernarynek w Łowiczu. Przyjęła habit 25 XI 1919 r., złożyła pierwsze śluby 30 I 1921 r., zaś wieczyste 4 VIII 1925 r. Głównym jej zajęciem było nadal szycie. Często wyjeżdżała na kwestę. Kochała ubóstwo. Zmarła 5 III 1965 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

²⁶ Marta Józefa Gruziel urodziła się 12 II 1887 r. w Strzelcewie koło Łowicza. Jej spowiednikiem i kierownikiem duchowym był późniejszy bp Wacław Majewski. Za jego radą wstąpiła najpierw do Służebniczek Maryi, a następnie przeniosła się do klasztoru bernarynek w Łowiczu. Została obłóczona 2 V 1920 r., pierwsze śluby złożyła 27 XII 1921 r., zaś profesję wieczystą 29 XI 1927 r. Charakter do współżycia miała trudny. Była silną indywidualnością. Często surowa, milcząca, otwierała się na biedę ludzką. Pielęgnowała opuszczonych w chorobie. W czasie wojny została ranna, straciła oko, ale to nie umniejszyło jej energii. Zmarła 2 XI 1963 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

²⁷ Salomea Marianna Janus urodziła się 5 III 1895 r. w Stachlewie koło Łowicza. Została obłóczona w habit 31 V 1921 r. Pierwsze śluby złożyła 28 XII 1922 r., a wieczyste 29 IX 1926 r. Była bardzo pracowita, ofiarna i skromna. Pełniła różne obowiązki w gospodarstwie, kuchni i refektarzu. Zmarła 20 VIII 1976 r. Oprac. Amata Hartman OSFB.

²⁸ Małgorzata Stefania Olejniczak urodziła się 4 VIII 1906 r. w Mięsośni koło Łowicza. Oblóczona w habit 16 V 1932 r. w klasztorze bernarynek łowickich, złożyła pierwsze śluby 16 VII 1934 r., a wieczyste 16 VII 1937 r. Większą część życia pracowała w kuchni. W swoim zawodzie wykazywała talent i artyzm. Ostatnie lata życia spędziła na szyciu habitów, płaszczy zakonnych, ubrań. Przy swej pracowitości nie zaniedbywała modlitwy i często po całym dniu pracy odprawiała w chórze Drogę Krzyżową. Zmarła 12 II 1992 r. Oprac. Amata Hartman OSFB.

w stronę Łowicza, a tam jedna wielka luna. To samo i nad Popowem i Kompina²⁹, widok okropny. Zjadłyśmy skromną kolację resztki ze śniadania i obiadu, i szykujemy się do spania. Siostry Józefy brat dał nam trochę słomy, którą rozkładamy na podłodze i kładziemy się spać. Tymczasem matka Rita³⁰, s. Teresa, s. Magdalena³¹ i chłopak pojechali wozem do klasztoru zobaczyć, co tam się dzieje, przywieźć resztę sióstr rzeczy i żywności. Ledwo się położyłam przychodzi s. Józefa i mówi, że tu w jednej chałupie ks. Zawadzki³² spowiada i rozdaje Komunię św. Wybrałam się zaraz i poszłam z s. Józefą zobaczyć i rzeczywiście tak było. Ks. Zawadzki wyglądał okropnie, błądy, ledwo żywy i mówi do nas: „dobrze, że siostry rano wyjechały, bo wszystkie prawie kościoły zniszczone albo się palą, szpital cały zbombardowany. Widok okropny w Łowiczu”. Wracamy przygnębione do naszego mieszkania. Siostry jeszcze nie wróciły z klasztoru.

Dochodzi godzina 12, północ. S. Józefa byłaby rada, żeby kilka sióstr dalej poszło. Uważam, że nas jest za dużo na jednym miejscu. Wybrałam się z kilkoma młodymi siostrami w dalszą drogę do Boczek³³: s. Regina, s. Kazimiera, s. Stanisława nowicjuszką³⁴, s. Aniela nowicjuszką³⁵ i s. Małgorzata. Wychodzimy na ulicę o godzinie 12 w nocy. Żadna z nas nie zna drogi. S. Józefa wyprowadza nas i pokazuje nam drogę. Idziemy więc, a naokoło nas panuje cisza. Z daleka tylko widać jak się pali Popów i Kompina. Noc jest bardzo piękna. Nareszcie dochodzimy do Boczek. Na ulicach są jeszcze ludzie, ale wszędzie jest ciemno. Przy pięknym murowanym domu zatrzymujemy się i pytamy się o Jaśka brata s. Bernardy. Gospodyni tego domu nadzwyczaj uprzejma zaprasza nas do siebie.

²⁹ Popów – wieś w powiecie łowickim. Kompina – wieś w powiecie łowickim.

³⁰ Rita Felicja Rembowska urodziła się 9 X 1887 r. w Łowiczu. Z domu wyniosła staranne wychowanie. Wstąpiła do klasztoru bernardynek w rodzinnym mieście i przyjęła habit 21 VI 1923 r. Pierwsze śluby złożyła 28 VIII 1923 r., zaś wieczyste 29 XI 1927 r. Pracując w szkole w charakterze kierowniczką i nauczycielką, jednocześnie przez pewien czas pełniła w klasztorze funkcję szafarki. Jako zakrystianka dbała o szaty liturgiczne, haftowała nowe ornaty i wykonywała koronki do obrusów i alb. Przez krótki czas pełniła urząd mistrzyni nowicjatu. Zmarła 25 VIII 1962 r. Oprac. s. Amata Hartman OSFB.

³¹ Magdalena Janina Pikulska urodziła się 5 X 1909 r. Zabostowie Dużym koło Łowicza. Wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu i już jako postulanka uczyła się szewstwa. Została obłóczona w habit 24 VI 1933 r. Pierwsze śluby złożyła 5 XI 1935 r., zaś wieczyste 6 I 1941 r. Pracowała w gospodarstwie klasztornym. W czasie okupacji niemieckiej jeździła na kwestę. Zmarła 31 III 1985. Oprac. Amata Hartman OSFB.

³² Ks. Stefan Zawadzki rektor kościoła popijarskiego w Łowiczu. Aresztowany i uwięziony w Łowiczu w 1941. Zmarła śmiercią naturalną w 1943 r. W. Jacewicz, J. Woś, *Martyrologium*, z. II, s. 381.

³³ Boczek – wieś w powiecie łowickim.

³⁴ Stanisława Izabella Żmuda pochodziła z Turka. Po ślubach czasowych 24 VI 1939 r. opuściła klasztor.

³⁵ Aniela Genowefa Pietrusiewicz urodziła się 4 X 1917 r. w Nowej Wilejce (Litwa). Wstąpiła do klasztoru bernardynek łowickich i przyjęła habit 22 VIII 1939 r. Pierwsze śluby złożyła 2 VI 1941 r., zaś wieczyste 13 VI 1944 r. W 1946 r. wyjechała do nowo powstałego klasztoru w Łodzi, a potem do odzyskanego klasztoru w Warcie. Zmarła 14 V 2004 r. w Warcie. Oprac. s. Anna Ewa Kędracka OSFB.

Okazuje się, że to jest Krupińska, której syn przed kilku dniami miał prymicie i u nas była dla niego stuła robiona. Ta gospodyni przyjęła nas bardzo serdecznie. Ponieważ na św. Róży miał tu być odpust, więc kupili $\frac{1}{4}$ piwa. Tego odpustu z powodu wojny nie było, a oni sobie dzisiaj to piwo popijali i nas zapraszali. Myśmy im grzecznie podziękowały, bo już jest 12 godzina, a może będziemy miały sposobność być u Komunii Św. Nasza poczciwa gospodyni przygotowała nam jak najwygodniejsze posłanie do spania i prosi na wszystko, żeby się położyć. Ledwo zdążyłyśmy się położyć, a tu przyjeżdżają nasze siostry wozem i końmi. Razem z nimi jest ks. prefekt Palinceusz z Łęczycy³⁶, doktor powiatowy ze swoją gospodynią. Nasza zacna gospodyni przyjęła tylko Mateczkę, księdza, doktora i gospodynię doktora. Siostry pojechały do brata s. Bernardy. W Boczkach zostałyśmy przez jeden dzień.

Naraz w nocy przyszła Matka Wielebna po nas, że jedziemy zaraz w dalszą drogę. Nie bardzo się nam to podobało, ale trudno. Trzeba się już razem trzymać i też słuchać. Noc cudna, nadzwyczaj cicha, piękna. Matki Rity rodzina jedzie z nami razem. Naraz oglądamy się, a tu matki Rity nie ma. Widocznie zabłądziła. Zmartwiliśmy się wszyscy, a szczególnie jej siostra pani Józefa, która z całym poświęceniem przeszło godzinę czasu na rowerze jej szukała. Aż ją nareszcie znalazła mocno wystraszoną pani Rembowska, spoconą i zmęczoną. Nad ranem dojeżdżamy do Rybna³⁷ i zatrzymujemy się cały dzień i noc. Trzeba było się nam z jednego końca wioski na drugi przenieść. Wszystkie nasze rzeczy na wozie załadowane wysoko. Na tych pakach usiadła Matka Wielebna, Mateczka, ja, doktor i jego gospodyni. Nieszczęście chciało, że s. Magdalena na zakręcie za prędko skręciła. Wóz się przewrócił, a my wszyscy z woza do rowu, na szczęście bez wody. Trzeba było widzieć jak to strasznie śmiesznie wyglądało. Ten gruby doktor gramolił się i sapał, Mateczka zdenerwowana i już do wieczora się gniewała, Matka Wielebna wystraszona, a ja nie mogłam się od śmiechu powstrzymać, co jeszcze więcej wszystkich zdenerwowało. Ale dobrze się skończyło, bo nikomu się nic złego nie stało. Wieczorem jedziemy dalej w stronę Warszawy. Mateczka z s. Bernardą wróciły się z powrotem do Boczek. Na samą noc zajeżdżamy do Sochaczewa, ale trudno nam się przedostać ulicą, bo całe ulice wojskiem i ludźmi zapchane. Toteż całe 2 godziny jedziemy przez miasto. Mnie ledwie że dyszel nie zabił. Dopiero nad ranem dojeżdżamy do wioski Maurycew³⁸, niedaleko Szymanowa. Zatrzymaliśmy się u ludzi biednych, ale bardzo gościnnych. Ksiądz Prefekt nas nie opuszczał, opiekował się nami jak ojciec. Na drugi dzień rano, a była to sobota 9-tego września, ks. Prefekt poszedł do Szymanowa do sióstr niepokalanek zobaczyć, czy tam nie ma dla nas miejsca. Wrócił niezadługo uradowany, bo siostry zaprosiły nas do siebie.

Wybrałyśmy się zaraz po południu do sióstr na czele z ks. Prefektem. Siostry przyjęły nas bardzo serdecznie do swojego klasztoru, chociaż gościły u siebie już dużo kapłanów i ludzi świeckich. Było nam tu bardzo dobrze. Miałyśmy możliwość

³⁶ Ks. Józef Palinceusz prefekt w Łęczycy. Aresztowany w 1940 r., więziony w Dachau i Gusen. Zmarł 31 V 1942 r. Jacewicz, Woś, *Martyrologium*, z. II, s. 249.

³⁷ Rybno – wieś w powiecie sochaczewskim.

³⁸ Maurycew – wieś w powiecie sochaczewskim.

być codziennie na kilku Mszach św. i przyjmując Komunię św. Księża mieli osobny stół, toteż ks. Prefekt co mógł to z tego stołu porywał i nam przynosił.

W niedzielę 17-go września w uroczystość Stygmatów św. Ojca Franciszka zamówiliśmy w naszej intencji Mszę św., którą nam ks. Prefekt celebrował i było całodzienne wystawienie Najświętszego Sakramentu i miałyśmy cały dzień adorować. Wtem przychodzi rozkaz od niemieckiego oficera (bo Niemcy już Szymanów zajęli): „wszyscy obcy mają natychmiast klasztor i teren klasztoru opuścić”. Zrobił się niemały ruch na terenie klasztoru, a tu na domiar wszystkiego szaleje burza na dworze i pada deszcz, i areoplany latają nam nad głowami. Mimo wszystkich trudności musimy w drogę wyruszyć. Jedziemy w kierunku Łowicza na Bolimów³⁹. Tu znowu spotykamy całe tabory wojska niemieckiego, które jest takie butne i z nas biednych się wyśmiewają. Pod strachem dojeżdżamy do Bolimowa i u jednego biednego gospodarza zatrzymujemy się, bo już się robi ciemno, a w nocy nie wolno podróżować. Ten biedny, poczciwy gospodarz w jednej izbie, którą posiadał, pościelił nam słomy na podłodze i tam przespałyśmy się. Ks. Prefekt i doktor w stodole pilnowali naszych rzeczy. Rano po skromnym śniadaniu wybieramy się w dalszą drogę do naszego kochanego Łowicza. Im bliżej jesteśmy domu, tym mocniej biją nam serca i różne myśli cisną nam się do głowy: jak też nasz klasztor wygląda? Czy w ogóle są chociaż mury naszego klasztoru? Nareszcie koło południa wjeżdżamy do naszego Łowicza, ale jaki okropny widok. Tu leży trup jeszcze nie pochowany, tam konie zabite, tu znowu dopalają się resztki domów i kościołów. Wszędzie smród i zaduch. Całe miasto wygląda jak gdyby wymarło. Tylko co parę kroków stoi butny, niemiecki żołnierz z karabinem w ręku. O Boże! Wreszcie widzimy nasz kochany klasztor, na widok którego serca na chwilę jakoby w piersi zamarły i oczy napęłniły się łzami. Czy to naprawdę ten sam klasztor, który trzy tygodnie temu był tak pięknie odnowiony? Z daleka widzimy, że dachu zupełnie nie ma. Mury i ściany poszarpane, i okna powyrywane. Wjeżdżamy na podwórze. Bramy nie potrzebuje nam nikt otwierać, bo mur przez bomby rozwalony. A na podwórzu klasztornym brudu, brudu i jeszcze raz brudu!

W klasztorze i przy klasztorze pełno obcych ludzi. W szopie leży kilka trupów nie pochowanych. W klasztorze jest szpital powiatowy i Czerwony Krzyż, bo szpital został przez Niemców doszczętnie spalony. Siostry nasze, które zostały na miejscu, witają nas serdecznie i prowadzą do budynku szkolnego. Tam również wszystkie szyby w oknach wybite, ale budynek jest cały, bo ten budynek ma w przyszłości tysiącom ludzi, a szczególnie dzieciom dać schronienie i stanowić ich dom rodzinny. Po skromnym obiedzie przyglądamy się trochę bliżej klasztorowi. Klasztor jest na zewnątrz zupełnie zrujnowany, okna wszystkie bez szyb, niektóre drzwi wyrwane, dach na klasztorze i kościele zupełnie zniszczony. Do kościoła wpadł szrapnel i wyrwał dwa okna na wylot. Więc cały sufit w kościele zniszczony i wszędzie pełno brudu i kurzu. Najświętszy Sakrament jest w Wieczerniku i tutaj się dotąd odprawiało nabożeństwo.

W klasztorze na górze i na dole pełno rannych żołnierzy i cywilnych chorych i rannych. Jeden tylko kapitułarz jest wolny, który my na razie zajmujemy. Nasza

³⁹ Bolimów – wieś w powiecie skierniewickim.

s. Jadwiga ma w dwóch celach matki z niemowlętami, którymi się opiekuje, ale jest już zupełnie wyczerpana. Na razie dał nam szpital jeszcze trzy cele do naszego użytku. Na widok takiego straszego spustoszenia ogarnęło mnie chwilowe zniechęcenie. Chciałam uciekać stąd, pójść szukać innego klasztoru. Wtem słyszę głos wewnętrzny „nie”! Trzeba zabrać się z całą energią do pracy, bo wszystkiego można dokonać przy pomocy Bożej, silnej woli i poświęceniu. Proszę matkę Ritę, żeby się zajęła naszą kuchnią. Ja natomiast muszę odtąd oddać się zupełnie pracy zewnętrznej. Najprzód trzeba pomyśleć o dachu na kościele i klasztorze, bo co będzie, gdy przyjdą deszcze i śniegi. Dowiaduję się, że u pana Klejnego jest papa, ale bardzo rozchwytywana. Trzeba zaraz po nią jechać, bo inaczej braknie. Tam znowu pilnują niemieccy żołnierze z karabinami, więc każdy się boi. Co tu robić? Udało mi się namówić Władka z ogrodu i pojechałam z nim razem po tę papę. Jedziemy po drugi wóz. Przyłączył się do nas pan Laskowski, żeby nam pomóc, a tu żołnierz niemiecki z karabinem w ręku zatrzymuje nas i mówi, że to jest kradzież. Tłumaczę mu po niemiecku, że to jest potrzebne na szpital, a on na to: „gut, gut”! Pan Laskowski bierze się od razu do roboty, do pokrywania dachu, ale brakuje jeszcze desek. Pan Dąb nasz dobrodziej, daje nam deski bez pieniędzy na wyplatę, więc można już chociaż prowizorycznie dachy pokryć.

To jest dopiero jedna rzecz, a tyle innych kłopotów. Zima nadchodzi, a tu klasztor ani szpital nie ma węgla i sama nie wiem, gdzie się po ten węgiel zwrócić. Idę do tzw. Ortskomendantury (*Ortskommandantur*). To jest najwyższa władza wojskowa dla ludzi cywilnych na cały nasz powiat. Tam jest tyle narodu, że trudno się przepchać. Udało mi się jednak przedostać do środka i otrzymałam kwit na 150 m³ węgla, który tam gdzieś jest w drodze. Uradowana idę z tym kwitem do pana Klejnego i p. Otto, bo takie miałam skierowanie, a oni się ze mnie śmieją i mówią: „żeby to siostra chociaż 10 m³ otrzymała, to byłaby wielka łaska”. A jednak w sam dzień św. Naszego Ojca Franciszka otrzymujemy 150 m³ węgla, cały wagon. Wielka Opatrzność Boża, która nam już zawsze towarzyszyła.

Na drugi dzień przychodzi ks. Pamulak⁴⁰ od ks. Dziekana⁴¹ i prosi, żebym czem prędzej poszła ratować ks. Karasińskiego, proboszcza ze Zdun⁴², który jest przez Niemców aresztowany na ulicy Piłsudskiego. Biorę ze sobą s. Kazimierę i idziemy do kapitana Deitla, który był komendantem nad wszystkimi jeńcami i proszę go bardzo o zwolnienie księdza. Obiecał mi, że zaraz sam tam pójdzie. Poszliśmy prędko do tych koszar, a tam tyle ludzi za parkanem się znajduje. Weszłam do środka. Biedny ks. Karasiński tak się bardzo ucieszył, że nie chciał mnie puścić, żebym go tylko mogła uwolnić. Niedaleko nas stoi też jakiś ksiądz, ale po cywilnemu ubrany. Odwraca się do mnie i mówi: „siostra, ja jestem też księdzem. Niech siostra mnie też ratuje i niech siostra od nas nie odchodzi”. To

⁴⁰ Ks. Pamulak – wikary parafii Św. Ducha.

⁴¹ Ks. dziekan Stanisław Walichnowski, proboszcz parafii Św. Ducha. Podczas okupacji, gdy Niemcy zajęli plebanię, mieszkał w kapelanii bernardynek. Na czas wojny kuria warszawska przekazała mu jurysdykcję nad klasztorem sióstr.

⁴² Ks. Julian Karasiński – wieloletni proboszcz w Zdunach.

był ks. Gajdus z Pomorza⁴³, wielki patriota i gorliwy kapłan, który się bardzo poświęcał i dużo zasług koło rannych żołnierzy położył. S. Kazimiera poszła do klasztoru po obiad dla tych dwóch księży, a ja zostałam z nimi w więzieniu. Po chwili przychodzi kapitan Deitel. Ja wskazuję mu księży, a on na to: „księża są wolni”. Z wielką radością poszłam do domu, żeby s. Kazimierę wstrzymać z obiadem, a księża niemniej uradowani poszli do ks. dziekana na obiad. To był dopiero początek ratowania ludzi z okrutnych hitlerowskich szponów.

Ks. Gajdus zatrzymał się u nas w klasztorze, tu też był ks. Lipski też z Pomorza⁴⁴. Ks. Kopczewski nasz kapelan wyjechał do Warszawy na początku wojny, bo u nas nie miał co robić, albo raczej dla niego było za mało pracy. W Warszawie zatrzymał się w szpitalu Św. Ducha i tam dużo pracy i zasług położył. Ks. Gajdus gorliwy kapłan i wielki patriota jak już wspomniałam, zwraca się do mnie: „matko, nasi żołnierze ranni w szpitalach zostają zupełnie bez pomocy duchowej i materialnej, umierają bez pociechy religijnej. My musimy im przyjść z pomocą”. Poszłam zaraz do lekarza naczelnego. Był to Niemiec inteligentny i poważny dr Haman. Prosiłam go bardzo, żeby on mnie i księdzu dał pozwolenie chodzić po szpitalach i nieść tym naszym bohaterom, a obecnie biednym rannym pomoc i pociechę. Otrzymałam dla siebie i księdza przepustkę, na którą nam wolno było we wszystkich szpitalach rannych żołnierzy odwiedzać i nieść im pomoc tak duchową jak materialną, ale tylko w oznaczonych godzinach. Po otrzymaniu przepustek poszliśmy zaraz do szpitala. Co za okropny widok przedstawił się naszym oczom. W jak opłakanych warunkach znajdowali się nasi biedni ranni żołnierze. Leżeli w brudnej bieliznie, albo zupełnie bez bielizny na ziemi na barłogu. Na nasz widok wyciągnęli do nas ręce, zaś ks. Gajdus do nich w te słowa przemówił: „bracia moi najmilsi, dzieci kochane! Przychodzę do Was z Matką Wikarią, by wam pomóc, by wam ulżyć w cierpieniu. Będziemy tu do was przychodzili codziennie i co tylko będzie w naszych siłach będziemy wam tak duchowo jak i materialnie wspomagać”. Odtąd ten gorliwy apostoł chodził codziennie po wszystkich szpitalach, czołgał się przy tych rannych żołnierzach na kolanach, a czasem nawet na brzuchu, żeby ich wyspowiadać. Po spowiedzi poszedł im zanieść Komunię św. Towarzyszyla mu s. Kazimiera. Po Komunii św. bardzo rzewnie do nich przemówił w te słowa: „bracia kochani! Wszyscy was opuścili, straciliście wszystko, zdrowie, rodzinę i Ojczyznę, ale Chrystus was nie opuścił, bo przyszedł do was, żeby was pocieszyć”. Odtąd chodziła s. Kazimiera codziennie z ks. Gajdusem po wszystkich szpitalach. Nosila im lekarstwa, owoce, mleko, chleb i bułki. Poszły później z s. Teresą obydwie po mieście i po wsiach zbierać bieliznę dla tych biedaków.

Ja tymczasem musiałam się zupełnie poświęcić pracom społecznym i charytatywnym. Najprzód trzeba było pomyśleć o szpitalu, który się mieścił w naszym klasztorze. Dachy już p. Laskowski jako tako pokrył, ale w oknach nie ma żadnej szyby. Chorzy bez łóżek, bielizny, pościeli i żywności. Chodziłam więc od rana do wieczora po wszystkich urzędach i prosiłam o rzeczy potrzebne, a Opatrzność

⁴³ Ks. Wojciech Gajdus z Torunia, więzień obozów koncentracyjnych w Stutthofie i Oranienburgu. Kędracka, *Łowickie Bernardynki*, s. 65; Jacewicz, Woś, *Martyrologium*, z. II, s. 51.

⁴⁴ Bliżej nieznan.

Boska czuwała nad nami. Wszystko się, chociaż z wielkim trudem, załatwiło. Ale czy to tylko na tym się moja praca kończyła? Od rana do wieczora przychodzili ludzie do klasztoru z różnymi prośbami tak, że trudno wszystko wyliczyć. Jednym Niemcy zabrali mieszkanie. Trzeba było pójść im pomóc się bronić. Drugich aresztowali, trzeba było iść ratować. Inni nie mieli co jeść, inni znowu w co się ubrać, a jeszcze inni, żeby im przepustkę wyrobić, żeby się mogli dostać do swoich rodzin. Kiedy nareszcie dzień minął, to naprawdę wieczorem czułam się zupełnie zmęczoną, ale za to ile radości w sercu i zadowolenia wewnętrznego i wdzięczności dla Boga, że raczył użyć mnie niegodną jako swoje narzędzie do ratowania bliźnich braci moich.

Wojna z Polską się skończyła. Była do 27-go września 1939 roku. Warszawa się do końca bohatersko broniła i bohatersko poddała. Ośmiuset polskich oficerów z ks. dziekanem Tomiakem⁴⁵ i ks. kapelanem Kornackim⁴⁶ przydzieleni zostali do Łowicza i umieszczeni w koszarach na Blichu. Boże, z jakim uczuciem myśmy ich witali! Przecież to nasi bohaterzy, to sam kwiat naszego wojska. Co ich teraz czeka? Wszyscy zostaną wywiezieni do Niemiec. Toteż ten krótki czas, co jeszcze z nami zostaną musimy jak najlepiej wykorzystać, jak najbardziej im uprzyjemnić. Ale kto znowu tej misji się podejmie? W pierwszym rządzie nasze siostry. Każdy z nich ma jakąś prośbę, czy życzenie, czy zlecenie do swoich rodzin, a my ze swojej strony staramy się z jak największą miłością i poświęceniem wszystkie ich potrzeby zaspokoić. Codziennie zanosimy im obiady, kupujemy dla nich ciepłe koszule i bieliznę, i różne zlecenia do ich rodzin załatwiamy, i także na niedzielę wozimy im przybory do Mszy św., żeby mieli możliwość uczestniczyć w Najświętszej Ofierze. Trzeba było być naocznym świadkiem ich tęsknoty za Najświętszą Ofiarą. Otóż w ostatnią niedzielę przed ich wyjazdem do Niemiec do oflagu, ks. Kornacki myślał, że ich w nocy wywiozą. Tymczasem zostali jeszcze na niedzielę, więc dał mi trochę późno znać, żeby przywieźć przybory do Mszy św. To jak nas z daleka zobaczyli, że jedziemy, cieszyli się jak małe dzieci, z radości skakali i wołali: „siostry jadą! Będziemy mieli Mszę św.” Ks. Kornacki pożegnał się z nami. Dał mi na pożegnanie krzyż pułku, który do dzisiaj wisi u mnie w celi, i powiedział do mnie: „niech Matka ten krzyż przechowa i odda go jak wrócimy, a ile razy Matka spojrzy na ten krzyż niech westchnie za mnie do Boga”. Ja mu dałam swój kozuch, który mu na pewno bardzo się przydał, bo z oflagu poszedł do obozu w Dachau. Tam wspierałyśmy go jak tylu innych kapłanów paczkami żywnościowymi. Muszę tu zaznaczyć, że najwięcej pracy i poświęcenia koło tych oficerów położyła s. Kazimiera i s. Anna. Ks. Gajdus, który jeszcze u nas był, zauważył, że ci oficerowie mają przy sobie sporo pieniędzy, które im wszystkie Niemcy zabiorą, jak ich będą wywozili do Niemiec. Namówił mnie, żeby trochę u nich pokwestować. Poszłam więc z s. Anną wieczorem do nich na

⁴⁵Ks. Józef Tomiak ppłk, dziekan i kapelan WP. Wzięty do niewoli w 1939 r. i osadzony w obozie jenieckim w Rottenburgu. Zmarł w Dachau 9 VIII 1942 r. Jacewicz, Woś, *Martyrologium*, z. IV, s. 170.

⁴⁶Ks. Henryk Kornacki major i kapelan WP. Zmobilizowany w sierpniu 1939 r. jako kapelan 25 Dywizji Piechoty WP. Osadzony w obozach jenieckich w Łowiczu, Prenzlau, Rottenburgu, w obozach Buchenwald i Dachau. Wyzwolony w 1945 r. Jacewicz, Woś, *Martyrologium*, z. IV, s. 467.

Blich. Deszcz taki padał, błoto i ciemno, ale poszliśmy, bo trzeba dach na klasztorze robić, a tu nie ma na to forsy. Dzięki Bogu zebrałyśmy 1500 zł. Była to wielka pomoc na początek.

Ktoregoś wieczora przyjechało kilku niemieckich lekarzy i całą noc robili czystkę w naszym szpitalu klasztornym. Wszystkich żołnierzy zabrali i wysłali do Niemiec. Nasze siostry z całym poświęceniem i miłością obsługiwały biednym rannym i chorym. Jeszcze teraz po tylu latach przychodzą dziękować za tak czułą opiekę.

Między rannymi żołnierzami w liceum był jakiś ks. Ignacy Węclawski z Pomorza, który był bardzo ciężko ranny. On nie był kapelanem wojskowym, ale ponieważ wojsko straciło swojego kapelana zabrali go po drodze ze sobą. Ten kapłan tak bardzo prosił, żeby go zabrać stamtąd do naszego szpitala, ale jak to zrobić? Ks. Gajdus nalega na mnie, żeby tego księdza stamtąd wydostać. Mnie również było go bardzo żal, toteż postanowiłam sobie, że użyję wszelkich sposobów, żeby go tylko wydostać i do nas przywieźć. Zwróciłam się do naczelnego lekarza dra Hamana, który się od razu zgodził na to. Kazał mi się zwrócić do kancelarii o wydanie mi wszelkich formalności w sprawie księdza. Sekretarz, jakiś kapral czy podoficer, który tam urzędował, ani myślał mi księdza wydać. Musiał to być zacięty hitlerowiec. On się rzucał i gadał, a ja na to się ironicznie uśmiechałam, co go jeszcze więcej złościło i pyta mnie się: „z czego siostra się tak ironicznie śmieje?” A ja na to: „mi się zdaje, że pan major ma coś więcej do powiedzenia niż p. kapral; zaraz zobaczymy”. I wyszłam. Poszłam zaraz do szpitala na samym wstępie spotkałam dra Hamana i mówię mu, że w kancelarii robią mi takie trudności. Twierdzą, że to jest kapelan wojskowy. Na to mówi doktor: „w tej chwili pójdę na górę i sam sprawdzę jego papiery”. Pobiegłam prędko do księdza i ostrzegłam go, żeby się dobrze trzymał. Wszystko nam się doskonale udało. Doktor dał zaraz rozporządzenie, żeby pogotowie księdza do nas odwiozło. Była to jednak sprawa niełatwa. Ksiądz był bardzo ciężko ranny w brzuch i każde najmniejsze poruszenie go bardzo bolało. Trzeba było go na noszach nieść, ale do tego muszą być ludzie. Tych musiałam znowu z miasta pozbierać i tak nareszcie dotarliśmy do klasztoru. W klasztorze czekał na nas ks. Gajdus, który się z prawdziwie braterską miłością zaopiekował księdzem. Jak księdzu wszystkie przygody opowiedziałam, to zawołał: „naprawdę matce się należy za ten czyn order «Pro Ecclesiae et Patriae»”.

Ale historii z tym księdzem jeszcze nie koniec. Rana nie chciała się zupełnie goić, przy tym bardzo cierpiał. Lekarze orzekli, że tutaj nie mają odpowiednich warunków i lekarstw. Najlepiej, żeby go można do szpitala do Skierniewic odwieźć. Łatwo to powiedzieć, ale jak tak ciężko chorego 25 km drogi przewieźć? Zaczęłam robić starania o samochód. Nie poszło jednak tak łatwo. U wojska nie skorzystałam. Poszłam więc do magistratu do p. Wolfa, który był burmistrzem. Odesłał mnie do Arbeitsamtu⁴⁷, który był mi zupełnie nieznany. Zwracam się do tego urzędnika niemieckiego, wyglądał odstrasząco na pierwsze wejrzenie, i proszę go o pomoc, żeby można biednego rannego do Skierniewic odwieźć.

⁴⁷ Urząd pracy.

I o dziwo ten od razu z całą gotowością podejmuje się wszystko załatwić, żeby tylko chorego ratować, i mówi: „tak siostrze, ja wiem co ta rana znaczy, bo ja byłem tak samo w czasie wojny światowej w brzuch ranny”. Było to w porze zimowej i był mróz i śnieg. Dał nam konie i duże sanki. Na tych sankach ułożyliśmy księdza i wyjechaliśmy przed południem z Łowicza tak, że byliśmy wieczorem w Skierniewicach. Można sobie wyobrazić, co to była za uciążliwa podróż. Biedny chory ksiądz bardzo cierpiał, ale nadzieja, że na pewno będzie mu lepiej wszystko osładzała. A jednak biedny za trzy dni już umarł.

To pierwsze moje spotkanie i zapoznanie z kierownikiem Arbeitsamtu Buchholzem przy tak pięknym czynie miłości bliźniego było opatrnościowe. Zobaczmy później ile z jego pomocą wyratowałam Polaków, a szczególnie młodzieży od przymusowej pracy w Prusach.

Trzeba było teraz pomyśleć o naszym ks. kapelanie Kopczewskim, który dotąd był w Warszawie, bo chodziło o jego osobę i o nas, które zostałyśmy bez kapelana. Ks. Gajdus i ks. Lipski musieli na rozkaz ks. dziekana Łowicz opuścić. Dobrze, ale jak się dostać do Warszawy? Była tylko jedyna komunikacja: wojskowe samochody ciężarowe. Znajdował się za starostwem jeden oddział wojska niemieckiego z Bawarii, którzy gotowali zupy i wozili codziennie samochodami w dużych bańkach dla ludności warszawskiej. Naturalnie była to propaganda. Zwróciłam się do komendanta tego oddziału z prośbą, żeby nam pozwolił się z nimi razem do Warszawy zabrać, na co on się zgodził. Pojechaliśmy z s. Anną zaraz na drugi dzień. Było to w połowie października. Podróż była bardzo ciężka, ale zajechaliśmy szczęśliwie do Warszawy. Biedna, kochana nasza Warszawa, jak okropnie zniszczona. Na jej widok nie mogłyśmy się powstrzymać od łez. A jednak był to dopiero początek drogi krzyżowej Warszawy. Ta droga pełna boleści będzie się ciągnąć przez cały czas okupacji i skończy się straszną Golgotą w czasie powstania. Dotarłyśmy nareszcie do szpitala Św. Ducha i zastałyśmy tam naszego ks. kapelana, ale jak bardzo zapracowanego. Nasz kochany ks. kapelan spełniał tam wszystkie funkcje w tym szpitalu. Był kapelanem, dyrektorem i administratorem. Siostry szarytki w żaden sposób nie chciały się zgodzić, abyśmy księdza ze sobą do Łowicza zabrały. Wystarały się u ks. prałata Fałęckiego⁴⁸, który również nie pozwolił księdza zabrać, więc został jeszcze 2 tygodnie w Warszawie. Pod koniec października pojechałam jeszcze raz i przyjechał ze mną razem i z s. Anną do nas do klasztoru. Na razie zajął się klasztor i szpitalem jako kapelan, a pracy w szpitalu było dużo, bo rannych i chorych była wielka liczba.

Tymczasem zbliża się zima, a tu tyle nędzy koło nas, na mieście, tylu głodnych, którzy naprawdę nie mają nikąd żadnej pomocy. Uradziliśmy wspólnie z ks. kapelanem, że założymy kuchnię przy klasztorze pod nazwą *Kuchnia dla najbiedniejszych* i będziemy codziennie dla najbardziej potrzebujących bezpłatnie wydawać obiady. Trzeba jednak najpierw urządzić tę kuchnię. Ks. kapelan mówi mi, że przy koszarach są nowe polskie połowe kuchnie. Niech więc matka pójdzie i poprosi komendanta, może matce się uda na razie chociaż jedną taką kuchnię otrzymać. Widać, że miałam szczęście, bo udało mi się otrzymać dwie kuchnie połowe.

⁴⁸ Blżej nieznanany.

Teraz już były kotły, ale na razie nie było w tych kotłach co gotować, a tu tyle głodnych dzieci, starców, którzy przychodzą do klasztoru i proszą o pomoc. Zwróciłam się znowu do Niemców i otrzymałam od nich przez dwa tygodnie codziennie kilka dużych baniek zupy, po którą sama codziennie jeździłam i ze siostrami rozdawałam. Tymczasem ukwestowałyśmy trochę produktów i zaczęłyśmy gotować obiady dla wszystkich potrzebujących bez różnicy wyznań i bezpłatnie.

Ale znowu drugi kłopot. Kuchnia połowa stała na podwórzu bez żadnego schronienia, a zima nadchodzi. Trzeba pomyśleć o jakim takim dachu nad głową. Zrobiłyśmy ze starych desek szopę. Naokoło pełno szpar i dach dziurawy. W tej kuchni s. Kazimiera ze s. Teresą całą tak ciężką zimę gotowały, toteż nic dziwnego, że ręce i nogi poodmrażały. Na razie korzystało 200 osób z tych obiadów, później zwiększyła się liczba na 600 osób, a w czasie Powstania Warszawskiego było przeszło 1000 osób. Z początku było trudno otrzymać coś z urzędów niemieckich produktów żywnościowych, a przecież trzeba jeszcze było myśleć o klasztorze i szpitalu. Z początku miałyśmy tylko zawsze zupę i chleb na obiad. Chleba każda siostra mogła brać ile chciała. Zdawało się jednak s. Ricie, że może nam braknie chleba, żeby lepiej siostrom chleb wydzielać. Zrobiło mi się strasznie żal sióstr i mówię do Matki Wielebnej: „niech Matka Wielebna nie żałuje chleba siostrom. Nam starczy, a jeżeli braknie, to wezmę worek na plecy i pójdę żebrać, ale nie pozwolę siostrom głodować”. I Pan Bóg dopomógł, że naprawdę siostry przez cały czas miały jedzenia pod dostatkiem.

Ks. Kopczewski oddał się z całym poświęceniem współpracy przy kuchni dla najbardziej potrzebujących. Byliśmy tego samego zdania: żadnemu potrzebującemu nie odmówić pomocy, ale wszystkie trudności pokonać, żeby tylko doli ludzkiej chociaż trochę ulżyć. Toteż kochany ks. kapelan chodził po mieście i żebrał, jeździł po wioskach z nami w mrozie, śniegu, deszczu i zimnie. Po okolicznych parafiach wygłaszał kazania, za które otrzymał od księży proboszczów tackę na biednych. Siostry także kilka razy przy kościołach mimo zimna kwestowały na biednych. Czasem, jak nie było już co do kotła włożyć, brał ks. kapelan łaskę do ręki i poszedł na miasto kwestować. Po niedługim czasie wracał. Przyniósł kilkaset złotych i trzeba było zaraz też pojechać po kilka worków kaszy czy fasoli, które też otrzymał. Na Boże Narodzenie urządziłyśmy *Gwiazdkę* dla naszych biednych. Siostry przez kilka dni i nocy pracowały nad tym, przeważnie s. Kazimiera i s. Teresa, żeby każdy z tych biednych otrzymał placek, chleb i kiełbasy. Nie było to tak łatwe na tyle osób wszystko przygotować, ale wszystek trud nie mógł pójść w porównanie z tą radością, jaką się sprawiło tym biednym ludziom.

Tymczasem znowu nowy kłopot. Nasza klasztorna kuchnia się zepsuła, bo rura, która ogrzewała duży kocioł z wodą przepaliła się. Wystarałam się w starostwie u p. Potapo, które ze względu na szpital wszystkie remonty kuchni pokryje. Musiałam wyjechać wozem z s. Anną w stronę Kiernozi⁴⁹ dla biednych szukać kartofli i zboża. Mróz był silny ponad 20 stopni, a myśmy cały dzień jeździły po różnych dworach, tak że wróciłyśmy dopiero późno wieczorem zmarznięte do domu. Wielebna Matka nie robiła mi żadnych trudności w moich pracach, ale

⁴⁹ Kiernozia – wieś w powiecie łowickim.

przeciwnie co tylko mogła, to ułatwiała. Kartofle tak bardzo potrzebne otrzymałyśmy, ale trzeba było teraz po nie pojechać. Tu już s. Anna sama zaofiarowała się to załatwić.

Zacząłam robić starania o trzy córki p. kapitana Drozda, które znajdowały się za granicą, żeby je do Łowicza sprowadzić i nimi się zaopiekować. Były to sieroty. Najstarsza miała lat szesnaście, najmłodsza pięć lat. Matka umarła przed wojną, a ojciec zginął teraz na wojnie. Udało nam się je sprowadzić i klasztor się nimi przez cały czas niemieckiej okupacji opiekował. Dostały w klasztorze mieszkanie, utrzymanie, ubranie i wykształcenie. Ich wychowaniem z prawdziwą macierzyńską troskliwością zajmowała się s. Rita. Niemało też zasług koło nich położył ks. Kopczewski. Teraz robiliśmy starania z ks. Kopczewskim o sprowadzenie dzieci p. Mroczkiewicza, co nam też się udało.

W grudniu nareszcie napisała matka Apolinara z Wilna⁵⁰. Tak chciałyby wrócić do nas, ale musi mieć zaświadczenie od tutejszych władz niemieckich, że te zgadzają się na jej przyjazd. Zacząłam robić starania po różnych urzędach, dokąd nie otrzymałam upragnionego papieru. Matka Apolinara wyjechała w kwietniu 1940 r. i przyjechała do nas w czerwcu 1940 roku. Wyglądała okropnie mizernie.

Przez 2 miesiące trzymali Niemcy wszystkich Polaków w obozie przejściowym. Tymczasem znowu wojsko niemieckie chciało zająć plebanię ks. prałata, więc znowu trzeba było chodzić i prosić, aż się udało, ale dużo koło tej całej sprawy się nachodziłam. To samo było z mieszkaniem p. Kwapiszów. Trudno opisać ile zabiegów i trudu kosztowało mnie, ażeby to mieszkanie zatrzymać, co się jednak na końcu udało.

Szpital pozostał u nas w klasztorze do września roku 1940. Tymczasem zaczęli Niemcy na ul. Zduńskiej urządzać getto dla Żydów i wszystkich Polaków z tej ulicy usuwać. Musieli się też i Bracia III Zakonu ze swojego domu usunąć. Niemcy umieścili ich w naszej szkole, a siostry służebniczki z ul. Mostowej u nas w klasztorze. Teraz zaczęło się wywożenie Żydów do Warszawy do getta, gdzie ich później wszystkich wymarnowali. Cierpieli tam bardzo, szczególnie głodowali, przychodzili nawet pieszo do nas z Warszawy po pomoc i wsparcie, któreśmy im chętnie co było w naszej mocy świadczyły, bo to przecież nasi bliźni. W tym samym czasie wysiedlali również Polaków z Poznańskiego i z Pomorza tzw. Warthegau. Była to okropna krzywda i straszne tułactwo tych naszych rodaków.

Jak skończyli z Żydami, zabrali się za Polaków wywożeniem na roboty do Niemiec. Rozpoczęło się dosyć względnie. Zwykle otrzymywali ludzie młodzi nakaz pisemny do pracy do Niemiec, ale kto mógł dać powód i się wytłumaczyć, został zwolniony. Trudno jednak było zwykłemu śmiertelnikowi dostać się do tego Niemca Buchholza. Najprzód czekały tam tłumy ludzi, a następnie był to człowiek okropny. Rzucił się jak dziki zwierz. Toteż znowu wszyscy przeważnie do mnie się zwracali o pomoc. Mój Boże, jak to dobrze, że ja się z nim wtenczas przy transporcie tego chorego księdza zapoznałam. Nie odmówił mi żadnej prośby. Chodziłam sama, albo też czasem posyłałam s. Annę lub s. Katarzynę z listem

⁵⁰ W 1939 r. bernardynki wileńskie musiały opuścić miasto. Część się rozproszyła. Natomiast pięć z nich udało się do klasztoru bernardynek w Zakliczynie, gdzie przeczekwały wojnę. K. Grudziński, *Wilno - św. Michał, w: Klasztory*, s. 560.

i zawsze o kogo prosiłam, tych mi uwalniał i sposobem setki, a nawet tysiące ludzi od wywiezienia do Niemiec się uratowało. P. Genia Mastalska, która ze mną raz poszła do tego Niemca opowiadała później swoje wrażenia: wchodzimy do biura, a tu pełno ludzi. Ten Niemiec rzuca się, krzyczy, kopie nogami, zupełnie jak zwierz, aż tu zobaczył nas i od razu się zmienił. Ręce mu opadają, nawet co ma w ręku wypada mu i zwraca się jak najuprzejmiej do mnie i pyta: „kogo i ile siostra chce zwolnić. Niech siostra napisze wszystkich na liście i mi przyśle, to ja siostrze doręczę zaświadczenie zwalniające. Po co ma się siostra sama fatygować”. I tak też zrobił. Oprócz tego zwolnił Romka Płońskiego, ciotecznego brata s. Teresy, który został jako wojskowy zabrany do Niemiec i tam na roboty wysłany. Również Węgierskiego syna sprowadził z Niemiec. P. Węgierski ofiarował mu 1000 zł., których on nie przyjął, tylko oddał te pieniądze mnie, mówiąc: „niech siostra weźmie te pieniądze na potrzeby swojego domu i biednych, bo siostra ma tyle do wyżywienia”.

To był pierwszy rok. Można było jeszcze dużo zrobić, ażeby wstrzymać wywożenie Polaków do Niemiec, jednak już w roku 1941 zaczęły się łapanki, które odbywały się przeważnie w nocy i przymusowe wywożenie Polaków do Niemiec, przeważnie młodzieży. Toteż młodzież była bardzo zagrożona i musiała się ukrywać. U nas w klasztorze ukrywałyśmy bardzo dużo młodzieży z narażeniem własnego życia. Otrzymałyśmy nawet list anonimowy z groźbą, że dadzą władzom niemieckim znać o tym, że w klasztorze ukrywa się dużo polskiej młodzieży. Myśmy jednak na to nie zważały i dalej się młodzież u nas ukrywała. I zresztą, czy mogło być inaczej? Przecież to nasze dzieci, nasza przyszłość. S. Kazimierzy siostry, które mi się dotąd zawsze udawało zwolnić, w lutym tegoż roku zabrali najmłodszą p. Genię i 17-letnią siostrzenicę. Nie mogłam nic zrobić. Już je wieźli do Warszawy, ale na szczęście brat s. Kazimierzy kolejarz, z pomocą drugiego kolejarza wyratowali obydwie i umieściliśmy je w Warszawie. Cóż jednak z tego. Niemcy nie dali za wygraną. Dali zaraz znać do Łowicza do Arbeitsamtu, że obydwie zbiegły, więc na ich miejsce policja zabrała ojca s. Kazimierzy i siostrę, czyli matkę tej siostrzenicy do obozu do Małszyce⁵¹ z tym zastrzeżeniem, że prędzej ich nie zwolnią, aż się te dwie zgłoszą do Arbeitsamtu. Zaczęłam robić zaraz starania, żeby ich zwolnić. Nachodziłam się dużo, lecz niestety zdawało się, że wszystko na próżno. Rano zawsze wyjeżdżał starosta z Buchholzem w teren na łapanki. Pobiegłam więc rano do starostwa i czekam przy samochodzie, aż przyjdzie Buchholz. Jak tylko się pokazał, prosiłam go tak bardzo o zwolnienie ojca i siostry naszej s. Kazimierzy. Ten jednak ani słuchać nie chciał, tylko rzucał się i krzyczał. Już nie mogłam wytrzymać i rozplakałam się na głos wobec wszystkich. Nadeszło święto Matki Boskiej Zwiastowania. W czasie Mszy św. i Komunii św. modliłam się gorąco do Matki Boskiej o zwolnienie tych osób, bo było mi bardzo s. Kazimierzy żal i tego ojca staruszka i siostry wdowy. W ogóle rodzinę s. Kazimierzy zawsze kochałam. Zaraz po Mszy św. mówię do Matki Wielebnej, żeby nic nie mówiła s. Kazimierze, a ja pójdę do Buchholza. Mam dziwne przecucie, że on mi ich zwolni. Kosztowało mnie to dużo przed tym

⁵¹ Małszyce – wieś w powiecie łowickim.

Niemcem się upokorzyć i to już chyba piąty raz w tej samej sprawie. Idę więc i modłę się całą drogę, i to z jaką wiarą i ufnością. Przychodzę do biura. Na szczęście jest Buchholz, tylko w tej chwili jest zajęty. Proszę więc, żeby mnie zameldować. Nie mam wielkiej nadziei, czy on mnie przyjmie, bo on dobrze wie po co ja przyszedłam. Zaczęłam się modlić, ale tak dziwnie, jak jeszcze nigdy: „Panie Boże, raz zmiękczyłeś serce tego człowieka, bo ty potrafisz z wilka drapieżnego cichego baranka uczynić” itd. Wchodzę do niego, a on taki uprzejmy jak nigdy. Zaczynam rozmowę o rzeczach obojętnych, a następnie proszę o zwolnienie tych osób. Chcąc mu do serca trafić mówię mu: „pan ma też rodzinę, ma też dla niej serce ojcowskie” itd. A ten na to: „dobrze, w tej chwili siostrze zwalniam”. Zdaje mi się, że w drugim pokoju jest policjant. Dam mu zaraz papiery i pošlę go, żeby ich zaraz zwolnił. Siłą mocy musiałam się wstrzymać, żeby się na głos nie rozpłakać. Moje wzruszenie jednak zauważył, bo nie mogłam słowa przemówić, a oczy miałam pełne łez. Leciałam do domu wprost na skrzydłach, żeby jak najprędzej tę radosną wiadomość s. Kazimierze donieść. Można sobie wyobrazić, co to była za niespodziewana radość dla s. Kazimierzy, która zaczęła głośno płakać i dziękować. A tu dają już znać, że ojciec i siostra s. Kazimierzy czekają w rozmównicy, bo wracają już do domu. Wielka radość była całej rodziny, ale chyba moja nie mniejsza.

Przez cały czas okupacji trwały te łapanki. Trudno sobie wyobrazić, ile ludzi wycierpieli, a ja z nimi razem, albo raczej więcej od nich, bo chciałam wszystkich ratować, jednak nie zawsze się udało, a to była największa boleść. Czekwały nas oprócz łapanek i wywożenia do Niemiec jeszcze straszniejsze rzeczy. Od samego początku były aresztowania, więzienia i doraźne sądy. Była to krwawa zbrodnia robota gestapo. U nas jednak w Łowiczu dotąd nie było ciężko pod tym względem. Aż tu w sam dzień imienin Matki Wielebnej 6 marca jak grom z pogodnego nieba uderzył w nasz Łowicz straszny cios. Przez całą noc gestapo aresztowało najważniejszych obywateli miasta, a nad ranem zabrali ks. prałata, ks. kanonika, ks. Zawadzkiego i po naszego ks. kapelana przyszli, którego wtenczas nie było w domu. Nasz ks. kapelan mógł się zupełnie nie stawić i wszystkiego uniknąć, ale był to kapłan bardzo szlachetny. Wolał sam pójść niż żeby miał narazić klasztor i swoją siostrę na jakieś nieprzyjemności. Przyjechał zaraz z Warszawy, pożegnał się z nami. Ach, to pożegnanie jakie strasznie rzewne! Płakaliśmy wszyscy razem z księdzem. Smutek panował w całym klasztorze, w całym mieście, w całej ojczyźnie. Pojechałam razem z księdzem do żandarmów z nadzieją, że może mi się uda księdza zwolnić. Lecz niestety, tam już było gestapo z Łodzi, które całą tę sprawę do końca prowadziło. Zwracam się do nich, żeby mnie zatrzymali, a ks. kapelana zwolnili, a oni na to: „nie siostra, ale nam jest potrzebny ksiądz”. Został więc ks. kapelan w ich rękach okropnych, którzy w tej chwili byli panem życia i śmierci każdego Polaka. Zaczęłam robić zaraz starania o zwolnienie naszych kapłanów i obywateli, a szczególnie o naszego ks. kapelana, który był najbardziej zagrożony. Chodziłam od rana do wieczora po wszystkich urzędach, błagałam, prosiłam i płakałam, ale zdawało się, że wszystko na próżno. Kilka razy dziennie chodziłam z drugą siostrą do więzienia, gdzie nas zawsze naczelnik więzienia wpuszczał, żeby tych biedaków pocieszać. Trzeciego dnia po uwięzieniu księży dowiadujemy się, że ks. Kopczewski nasz kapelan był w starostwie na przesłucha-

niu i mocno go zbili. Do niczego się nie przyznał i z całą powagą i godnością kapłańską wracał sam do więzienia. Zaraz po południu poszłam z s. Kazimierą do więzienia. Zastałyśmy wszystkich księży bardzo przygnębionych. Ks. kapelan siedział na łóżku wsparty z bolesnym wyrazem twarzy. Księża mi szepczą, że ks. kapelan jest bardzo zбитy, co mu tu pomóc? Jak go pocieszyć? Jak mu ulżyć? Podchodzę do księdza i naprawdę nie wiem jak do niego przemówić, ale na szczęście ksiądz sam do mnie pierwszy mówi z wielkim bólem: „zbili mnie bardzo, dostałem 70 razów. Nie mogę ani siedzieć, ani leżeć. Stukli mi głowę o ścianę, niech matka jednak nie mówi nikomu”. Tu mu się głos załamał i zaczął płakać. Ja również zaczęłam płakać i całować jego kapłańskie męczeńskie dłonie razem z s. Kazimierą. Następnej nocy wywieźli pierwszą partię więźniów i wszystkich stracili. Ks. kapelan ocalał, a przecież należał do najbardziej zagrożonych, czy to nie cud? Siostry modliły się bez przerwy dzień i noc, a pokorną i wytrwałą modlitwą można wszystko wyprosić.

Tej samej nocy, co stracili część więźniów, o godzinie 11-stej wieczorem straszne dobijanie się do kuchni do klasztoru. Zrywam się z łóżka, zarzucam tylko habit na siebie i biegnę od drzwi do celi, w których stoi matka Apolinarą i mówi: „matko, ksiądz, ksiądz!” Nie wiedziałam, o jakiego księdza matce chodzi, bo ks. kapelan jest już przecież w ich rękach, a tu chodziło o ks. Tywonka⁵², który się u nas ukrywał i mieszkał w celi s. Magdaleny. Biegnę prędko na dół do drzwi, gdzie nie mogli się doczekać i nogami kopali drzwi, żeby im prędko otworzyć. Otwieram drzwi, a tu z hałasem wpada cała zgraja gestapowców na czele z tym gestapowcem, który trzy dni temu przyjął ks. kapelana w żandarmerii. Skoro mnie zobaczył, stanął jak wryty. Poznał mnie i podaje mi rękę, a ja do niego się spokojnie zwracam (bo dziwna rzecz żadnych najgorszych Niemców się nie bałam, czułam jakąś niewysłowioną wyższość nad nimi): „czego oni sobie życzą od nas w tej porze?” Zmieszał się trochę i mówi: „chcemy klasztor zwiedzić. Ja na to: „proszę iść za mną, ja panów poprowadzę”. Poszłam więc z komendantem na przedzie, a oni musieli pójść za mną. Miałam najprzód zamiar pójść na dole cele zwiedzić, bo zapomniałam zupełnie, że się tam ks. Tywonek ukrywa. Ale coś mnie tknęło. Nie, pójdę najprzód na górę. Opatrzność Boska! Ks. Tywonek tymczasem się ukrył w zakrystii, a s. Bernarda położyła się do jego łóżka. Poszłam z nimi na górę i chodzili od celi do celi sióstr, ale naturalnie nic nie znaleźli. W niektórych celach wcale nie byli, tak że siostry w nowicjacie smacznie spały. Nie wiedziały nawet, że ktoś był w klasztorze. Matka Apolinarą wyjrzała z celi, ale zamknęła ją na klucz. Nareszcie komendant się rozgląda i pyta: „gdzie tu jest kancelaria?” A na to ja: „kancelaria, och, o to panu chodzi”. Rozglądałam się znowu za matką Ritą, bo przecież kancelaria jest u niej pod łóżkiem. Wołam m. Ritę, która jest trochę rozespana, trochę wystraszona, więc ma minę niecodzienną, ale klęka na

⁵²Ks. Stanisław Tywonek – ur. 18 I 1903 r. w powiecie garwolińskim (diec. podlaska). Początek okupacji niemieckiej, po krótkim pobycie pod Warszawą, spędzał we Włocławku spiesząc z posługą religijną do pobliskich parafii. Obawiając się grożącego mu aresztowania, opuścił Włocławek i osiadł w Łowiczu u bernardynek. Pomagał w duszpasterstwie księżom kilku parafii dekanatu łowickiego. W początkach marca 1945 r. powrócił do diecezji i objął stanowisko proboszcza parafii Lubraniec. Zmarł 12 V 1966 w Łodzi. „Kronika Diecezji Włocławskiej”, 50 (1967) nr 11-12.

oba kolana i wyciąga książki rachunkowe, które im wręczam i mówię: „to jest nasza kancelaria”. Oni patrzą na siebie, później na mnie i już mieli dosyć tej klasztornej kancelarii. Zaraz obok celi matki Rity jest schowanko i ubikacja. Są strasznie ciekawi, co tam jest. S. Benigna stoi i uśmiecha się. To ich jeszcze bardziej zaciekało, więc wchodzi, ale nie pyszni cofają się zaraz pokręcając nosami. Zwraca się znowu do mnie ich przywódca i pyta: „gdzie tu mieszka ks. Kopczewski?” Ja mówię: „przecież nie w klasztorze, ale obok na kapelani”. Proszą więc, żeby z nimi tam pójść. Idziemy na dół, a po drodze wstępujemy do celi, gdzie mieszkał ks. Tywonek. Tam w łóżku w ubraniu leżała s. Bernarda. Książk zostawił biret, notes, buty i inne rzeczy. Oni wszystko przetrząsali, ale nic im w oczy nie wpadło. Był to cud Boży! Poszłam z nimi na kapelanię w towarzystwie m. Rity, której jednak do mieszkania nie wpuścili, ale została sama za drzwiami. Na kapelani wszystko przerzucili. Nic nie znaleźli oprócz naszego ogrodnika Staškiewiczza, który tak smacznie spał, że nie mogli go dobudzić. Tymczasem p. Andrzej od Braci, którzy u nas w szkole mieszkali, był bardzo ostrożny i bojaźliwy. Już sobie wszystko z góry uplanował i prosił furtianki, jak tylko będzie jaka rewizja, żeby go zaraz na miasto wypuścili. Bierze więc pieniądze i pędzi do ogrodu na pewno, żeby je tam schować, ale tam jest pełno gestapowców. Idzie więc i te pieniądze rzuca za siebie. Ponieważ było ciemno nie zauważyli tych pieniędzy, ale chwytają go i pytają, co on za jeden. Nie wiadomo, co on powiedział ze strachu. Dają mu kilka batów przez plecy i każą pójść do starostwa się zameldować. Posłuszny Andrzej idzie do starostwa, ale po drodze wstępuje do p. Stanisława, żeby się z nim pożegnać i zameldować, że jest aresztowany. Puka do okna. P. Stanisław pyta: „kto tam? - To ja, Andrzej. Jestem aresztowany. – A kto jest z Panem? – Nikt, jestem sam. Idę do starostwa się zameldować”. Na to p. Stanisław: „władze pan co prędzej do mieszkania, bo jest już godzina policyjna i naprawdę mogą pana zaaresztować”. Rano wszyscy szukają p. Andrzeja i ubolewają, że jest aresztowany, aż tu po Mszy św. po śniadaniu przychodzi p. Andrzej. Wszyscy go witają jak bohatera, a on podkręcając swoje duże wąsy opowiada swoje przygody. Na tym się skończyła rewizja.

Księża pozostali w więzieniu, których ja codziennie z drugą siostrą przeważnie z s. Kazimierą odwiedzałam. Ks. prałat był bardzo poważny. Ks. dziekan przeciwnie, był zawsze przy dowcipnym humorze, ks. Zawadzki znowu płakał, drażnił go humor ks. dziekana. Nasz ks. kapelan, który był najwięcej zagrożony, był bardzo opanowany. Ks. dziekana Niemcy wyrzucili z plebanii i przenieśli go na naszą kapelanię, gdzie już pozostał aż do końca wojny z tą różnicą, że w roku 1944, jak się Niemcy cofali, umieścili na kapelani jakiś sztab czy wojsko, a ks. Dziekana umieścili w naszej szkole. Wkrótce wywieźli część więźniów na rozstrzelanie. Drugą część, w której był też nasz ks. kapelan wywieźli do Warszawy na Pawiak, do więzienia. Na Pawiaku przechodził ks. kapelan straszne tortury. W maju wywieźli go do Oświęcimia, co on tam wycierpiał może nam kiedyś sam opowie, dosyć że był już między umarłymi skazany na spalenie w krematorium. Zdążył się tylko przebudzić i uciekł do żyjących więźniów. Tymczasem robiłyśmy, co tylko było w naszych siłach starania o zwolnienie ks. kapelana. Trudno byłoby policzyć ile razy byłam w Warszawie u gestapo w sprawie księdza i innych

osób. Można sobie też wyobrazić, co mnie to kosztowało chodzić do tego piekła ziemskiego w habitie zakonnym, ale wszystko się robiło, żeby tylko ratować biednych więźniów.

Pani Grabska⁵³ dowiedziała się, że w Krakowie jest jakiś franciszkanin Niemiec wyznaczony na całą gubernię do spraw kościelnych. Prosiłam więc, żeby z nią pojechać, może się da coś zrobić w sprawie księdza. Pojechaliśmy na początku marca. Mróz był silny, podróż okropna, cały czas trzeba było stać na korytarzu, a podróż trwała 10 godzin. O jedenastej godzinie przed południem byliśmy w Krakowie okropnie zmarznięte. Pomimo tego poszliśmy zaraz bez śniadania szukać tego zakonnika, ale dopiero pod wieczór znaleźliśmy go. Czy on co pomógł, jest wielkie pytanie. Zdaje mi się, że nic. Ja tymczasem czułam się zupełnie wyczerpana i chora. Myślałam, że całą tę wyprawę życiem przypłacę. Wszystko ofiarowałam w intencji ks. Kopczewskiego. Po powrocie do domu napisałam do nuncjusza do Berlina z prośbą o załatwienie sprawy przeniesienia ks. kapelana i wszystkich księży z obozu z Oświęcimia do Dachau, dlatego że tam były lepsze warunki dla kapłanów, co też zaraz wkrótce nastąpiło. Czy to jednak na skutek mojego pisma, nie wiadomo.

W roku 1943 pisze ks. kapelan z Dachau, że cierpi straszny głód, jeżeli go nie poratujemy, nie przetrzyma. Piszę znowu do Krakowa do gubernatora o pozwolenie na wysyłanie paczek dla więźniów i otrzymuję zaraz wkrótce pozwolenie urzędowe na wysyłanie paczek. Biorę zaraz to pismo i jak na skrzydłach lecę na pocztę do naczelnika. Pokazuję mu to pismo, a on na to: „tak siostrze, jest już właściwe pozwolenie na wysyłanie paczek dla więźniów bez ograniczenia, tylko nie chciałem tego rozgłaszać. Siostra może jednak wysyłać ile chce, mogą do 15 kg ważyć”. Biegnę najprzód na dół na pocztę. Tam czeka masa ludzi. Wołam na cały głos: „wolno posyłać paczki więźniom, ile kto chce i może”. Można sobie wyobrazić, co się zrobił za ruch i radość wśród całego tłumu. Teraz biegnę do domu, ale naprawdę zaraz z s. Kazimierą i s. Anną zabieramy się do pakowania paczek, które trwało aż do końca wojny. Ja znosiłam produkty z miasta, s. Kazimiera pakowała wszystkie paczki. Ile ona się namęczyła przy tym pakowaniu, bo to była masa tych paczek, nie tylko dla naszego ks. kapelana, ale i innych więźniów tak, że s. Anna wozem zawsze odwoziła na pocztę paczki.

Wysiedlenia z terenów Polski przez Niemców nie ustawały. Przyjechali do nas matki Klary⁵⁴ brat z bratową z Włocławka i s. Hiacynty brat z bratową, tylko trudno było ich zameldować. Nie mało się musiałam nastarać, aż się nareszcie udało ich zameldować i zostali już u nas do końca wojny.

Nasz kościół, który jest bardzo piękny, był jednak mocno zniszczony. Ściany i sklepienie brudne, a drewniana posadzka spróchniała, zaś ołtarze połączone zu-

⁵³ Aniela Grabska, rodzona siostra ks. Józefa Kopczewskiego, której Niemcy grozili aresztem, jeżeli brat sam się do nich nie stawi.

⁵⁴ Klara Izabella Żołnowska urodziła się 20 X 1898 r. we Włocławku. Wstąpiła do klasztoru bernardynek w Łowiczu. Habit zakonną przyjęła 12 IX 1922 r. W następnym roku 15 X złożyła pierwszą profesję, a śluby wieczyste 29 XI 1927. Była przełożoną klasztoru w l. 1949-1952. Ostatnie lata życia spędziła w klasztorze bernardynek w Brzezinach. Zmarła 13 XII 1973 w Brzezinach. Oprac. Anna Ewa Kędracka OSFB.

pełnie szerniałe. S. Teresa, która została w roku 1941 zakrystianką, zawsze przy każdym obowiązku energiczna i czynna, chciała koniecznie kościół odnowić, co też doprowadziła do skutku. Najprzód cały kościół kredą odmalowano, następnie posadzkę terakotą wyłożono. Terakoty zostało więcej, toteż zaraz zabrałyśmy się z Matką Wielebną do roboty i kazałyśmy terakotą wyłożyć dolne korytarze, kuchnię, pralnię, piekarnię, łazienkę i wszystkie sienie na dole. Po odnowieniu kościoła ołtarze wyglądały bardzo staro i zniszczone. Żeby tak można je odnowić, ale na to brak pieniędzy. Któregoś dnia przychodzi s. Anna z miasta i mówi do mnie: „ile by też wielki ołtarz kosztował, żeby go odnowić, bo pewni państwo są gotowi ofiarować 10 000 zł na odnowienie wielkiego ołtarza”. Myślę sobie okazja! Prawda, jest to tylko część kosztów, ale nabrałam ogromnego zapału, żeby to doprowadzić do skutku. Byłam gotowa sama chodzić i zbierać ofiary, co też później robiłam. Na drugi dzień stoję na korytarzu z matką Apolinarą. Przychodzi s. Józefa i opowiada, że s. Teresa maluje cyborium⁵⁵ bronzem. Jak to usłyszałam, aż mnie coś uniosło i mówię: „co bronzem przybytek Pana Jezusa malować? Na to się nie zgodzę! Cóż to za zniewaga! Proszę powiedzieć s. Teresie niech mi tam nic nie maże na wielkim ołtarzu, bo wielki ołtarz będzie jeszcze w tym roku cały odnowiony”. I mówię to z takim przekonaniem, że chociażbym miała na głowie stanąć wielki ołtarz musi być odnowiony. Nie wiem skąd mi się to wzięło. Zdaje mi się, że to 10 000 zł na mnie tak podziały, ale z drugiej strony też silna wola, która nieraz cuda działa. W tym samym czasie dwaj złotnicy pracowali u ks. prałata. Posłałam po nich. Przyszli, obejrzeni ołtarz, że odnowią cały ołtarz za cenę 40 000 zł. Zabrałyśmy się zaraz do roboty, która trwała do późnej jesieni, ale ołtarz wielki wyglądał jak cacko. Bardzo pięknie robotę wykonali. Drugie 10 000 zł ofiarowali bracia z Zakładu L. Józefa. 20 000 zł zebrałyśmy z drobnych ofiar. Chodziłam i jeździłam po mieście i wioskach, a ludzie chętnie składali ofiary. Z tego widać, co może silna wola dokonać. O, gdybyśmy taką silną wolę miały w pracy wewnętrznej nad urabianiem duszy swojej, nie byłoby już ani jednej wady w nas, ale byłybyśmy wielkimi świętymi. Ale to był dopiero wielki ołtarz, a cztery boczne ołtarze, ambona i chór, ach, jak bardzo chciałabym, żeby je można odnowić, bo przy tym wielkim ołtarzu, który wyglądał teraz jak nowy tak, aż coś się prosiło, żeby je odnowić. W tej chwili nie można było o tym myśleć, bo tyle było innych naglących potrzeb.

Cały ogród był nieogrodzony. Wszystkie parkany, stodoła i szopy spalone, a tu brak na to wszystko funduszu. Jednak trzeba coś zrobić, bo tak nie może zostać, a wojna może jeszcze potrwać. Bierzemy Rowińskiego⁵⁶, który zawsze jest chętny. Zaczynamy od stodoły, szopy, parkanu przy gospodarstwie i idziemy dalej do ogrodzenia ogrodu, bo cóżby to była za piękna rzecz, żeby można ogród ogrodzić. A ponieważ było dużo starej cegły i gruzów na mieście, więc może nam się uda. Będzie to już rzecz na wieczne czasy. Zaczęli nasi chłopcy zwozić cegłę, piasek i gruz, a wapno było już przedtem kupione. Tylko nie można było cementu dostać, o który było bardzo trudno. Rowiński jednak zabrał się do roboty. Zrobiliśmy

⁵⁵ Tabernakulum.

⁵⁶ Gabriel Rowiński – murarz. AKBŁ, rkps b. sygn., *Kronika klasztoru ss. Bernardynek w Łowiczu*, s. 89.

tu jednak wielki błąd, bo fundament był za płytki i nietrwały, toteż w niektórych miejscach zaczyna się mur walić. Jest to wielka szkoda dla nas, ale cała wina jest majstra. Całej roboty murarskiej przy stawianiu muru pilnowała z całym poświęceniem matka Apolinara.

Zabrałyśmy się teraz do wyremontowania i odnowienia dzwonnicy, która rzeczywiście była bardzo zniszczona, a na której bardzo zależało matce Gertrudzie. Została zupełnie wyremontowana na wiosnę 1941 roku. Koszt tego remontu wynosił 27 000 zł. Doczekała się Mateczka wyremontowania dzwonnicy. Zaczęła jednak coraz bardziej na zdrowiu podupadać tak, że na początku roku 1943 musiała się na dobrze do łóżka położyć. 27 kwietnia słodko w Panu zasnęła. Pomimo że była wojna, miała jednak wspaniały pogrzeb. I ja miałam szczęście pójść za jej trumną na cmentarz.

Czas okupacji niemieckiej trwał dalej i trzeba było się dalej borykać z różnymi trudnościami. Chodziłam przeważnie od rana do wieczora po różnych biurach i urzędach, żeby zaspokoić potrzeby klasztorne, kuchnię dla biednych, ludziom pomagać i ratować klasztor i ludzi od napaści nieżyczliwych nieprzyjaciół. Trudno wszystko opisać, ile nieraz nieprzyjemnych przygód mnie spotkało, ale były też czasem chwile radosne. W każdym razie dziwna opieka Boża towarzyszyła nam przez cały czas okupacji. W urzędach pracowali Polacy, jednak kierownikiem zawsze był Niemiec i tu zależało dużo od tego, jaki to był człowiek. Pewnego razu poszłam do starostwa do wydziału gospodarczego i spotykam w biurze nowego urzędnika, bardzo uprzejmego i zupełnie do Polaka podobnego. Więc nie wiem, jak mam do niego przemówić, w jakim języku, ale mówię po niemiecku. I rzeczywiście był to Niemiec, który był aż do końca okupacji dla klasztoru i naszych biednych podopiecznych opatrznościowym człowiekiem. Nazywał się Kasten, protestant rodem z Prus Wschodnich. Po bitwie pod Stalingradem zaczęła się klęska Niemiec, tak że się powoli już cofali. P. Kasten na pewno wiedział, że to wszystko długo nie potrwa. Toteż latem dużo produktów do klasztoru przynosił. Niby to był taki zapasowy magazyn, który się tak bardzo później jesienią po Powstaniu Warszawskim przydał.

Rok 1944 był od samego początku dla naszej pociechy niespokojny coraz więcej. Uchodźców napływało ze Wschodu. Znak, że Niemcy się cofają, zabierają ludziom mieszkania na potrzeby wojskowe. I u nas też któregoś dnia cały klasztor wymierzili. Pobiegłam zaraz do starostwa do wicestarosty, który mnie zapewniał, że nic nam nie grozi. Jednak na tym nie można było bardzo polegać, bo wszystko zależało od władz wojskowych. W najbliższych dniach otrzymałyśmy nakaz, żeby natychmiast kapelanię opróżnić, bo tam wojsko zakwateruje. Ks. dziekana trzeba było umieścić w szkole, a ks. kapelana w drugiej zakrystii. Pomimo wszystkiego zabrałyśmy się za złocenia bocznych ołtarzy, ambony i chóru. Robota trwała do późnej jesieni i jest ładnie zrobiona. Razem wszystko kosztowało około 200 tysięcy złotych. Miałam jeszcze zamiar wielki ołtarz prawdziwym złotem poprawić, szczególnie chodziło o cyborium, ale już się nie zdążyło. A na wiosnę już nie było o tym co myśleć i tak zostało aż dotąd.

Tymczasem Niemcy się bardzo szybko cofali. Wyglądało to nieraz śmiesznie. Któregoś dnia przyjeżdżają lotnicy i na naszej łące za rowem cały dzień i całą noc

budują baraki, a na drugą noc wszystko rozbierają i uciekają. W sierpniu przychodzą wiadomości z Warszawy, że wojska radzieckie są na Pradze, a w Warszawie jest powstanie. Wiadomości z Warszawy nadchodziły coraz smutniejsze. W sam dzień odpustu św. Klary dają nam znać, że cały długi pociąg stoi na dworcu z warszawską ludnością i nie wiadomo jak długo będzie w Łowiczu stał, bo może pojedzie w głąb Niemiec. Kto więc może, niech spieszy z pomocą naszym biednym rodakom. Było to w samą porę obiadową. Miałam trochę zajęcia przy gościach. Prosiłam, żeby siostry zabrały coś żywności i poszły na dworzec. Po odejściu sióstr nie miałam jednak spokoju, bo myślę sobie, nie wiadomo czy Niemcy wpuszczą siostry na peron. Prosiłam matkę Ritę, s. Kazimierę i s. Teresę, żeby przygotowały kotły z zupą, mlekiem i herbatą, a sama pobiegłam na dworzec. Przyszłam w sam raz, bo na dworcu było już pełno ludzi. Był Czerwony Krzyż, ale Niemcy nikogo nie chcieli wpuścić na peron do tych biedaków, którzy do nas ręce wyciągali. Nie zważałam na nikogo, ani nie pytałam nikogo. Pobiegłam prosto do pociągu i pytam się ich, czy oni tu w Łowiczu zostaną, ale niestety, oni nie wiedzą, tylko boją się bardzo, że dalej pojedą. Dają mi różne listy i zlecenia dla swoich bliskich. Co tu robić? Muszę im pomóc, ale jak? Najprzód dowiedzieć się za wszelką cenę, czy oni tu zostaną, jakie jest ich przeznaczenie i w ogóle, żeby mi się tylko udało ich tu zatrzymać, bo oni o to wprost błagają. Pytam się żandar-mów, którzy nic nie wiedzą, ale radzą mi pójść do naczelnika. Biegnę więc, żeby tylko jak najprędzej załatwić sprawę. Naczelnik mi mówi, że zostaną tutaj. Chwała Bogu! Ucieszyłam się bardzo i biegnę z tą radosną wiadomością do tych biedaków. Boże, jak oni się ogromnie ucieszyli. Odwracam się, a tu stoi za mną starosta. Zwracam się do niego również z prośbą, żeby ci ludzie już dalej nie pojechali, a on na to: „nie pojedą już dalej, ale zostaną wszyscy na Małszycach umieszczeni. Do klasztoru nie wolno siostrze nikogo przyjmować, bo tam już są uciekinierzy zza Buga”. Pootwierali wagony i wszyscy wyszli na dworzec. Byli to przeważnie starzy ludzie i dzieci. Tylko teraz wszyscy wprost rzucili się do nas z s. Anną i proszą, żeby ich zabrać do klasztoru. Posłałam s. Annę, żeby najmowała dorożki i odwoziła ich do miasta, naturalnie naszym kosztem. Przychodzimy do domu, a tu przy klasztorze, na cmentarzu i przy bramach pełno ludzi. Co tu robić? Zakazane nam przez starostę, żeby nikogo do klasztoru nie wpuszczać. Czy ja jednak muszę w tym wypadku usłuchać? Ludzie proszą, nie chcą pójść stąd, są zmęczeni i głodni. Nie, trzeba ich nakarmić. Najprzód przykazanie Boskie jest ważniejsze, niż ludzkie nakazy. Otworzyłyśmy wszystkie bramy i wszyscy weszli na nasze podwórze i do szkoły. Nasze kochane matki i siostry nagotowały zupy, herbaty, mleka i wszystkich się nakarmiło. Także wody się przygotowało, żeby się umyli i trochę odpoczęli. Wszyscy by chętnie u nas zostali, jednak nie można było ich pomieścić. I tak spali w szkole na salach, na schodach, na strychu i gdzie się tylko dało. Nasze kochane siostry z całym poświęceniem się koło tych biedaków krzątały. M. Rita do swojej kuchni dla inteligencji dużo przyjęła na utrzymanie, ale przeważnie s. Kazimiera z s. Teresą oddały się zupełnie na usługi naszych biednych powstańców tak, że nazywali s. Kazimierę swoim aniołem.

Ja tymczasem chodziłam po urzędach, żeby najprzód było ich na czym położyć, a później w czym dać jeść i co dać jeść. Wszystko dzięki Bogu się nam uda-

wało, bo pan Kasten dawał mi produkty bez wagi, masy i liczby tak, że nie brakowało nam niczego. Tylko pracy było bardzo dużo. Prawie do 1 000 osób było codziennie na obiedzie. Na śniadaniu i kolacji było mniej. P. komendant dał nam łózka piętrowe, sienniki, wiadra, dzbanki, koce i inne rzeczy. Kupiliśmy desek i kazałyśmy zrobić łózek, które jeszcze po dziś dzień są w internacie. Ale na tym nie koniec. Zaczęło do nas z Warszawy przyjeżdżać dużo zakonnic, prawie z wszystkich zgromadzeń. Pierwsze na wozie przywiózł ks. Staniowski. Były to sakramentki – 12 siostr, a 34 zginęły pod gruzami. Boże, jak one biednie wyglądały, wymęczone i wystraszone. Zatrzymały się u nas przez 2 tygodnie. Dwie sakramentki były u nas prawie przez cały czas okupacji. Zaczęłam robić starania o samochód i pozwolenie, żeby sprowadzić karmelitanki bose i wizytki z Warszawy. Po dużych zabiegach i trudnościach udało się wszystkie sprowadzić. Można sobie wyobrazić, co tu był za ruch w klasztorze. Tylko co za dziwna Opatrzność Boża! Miałyśmy tyle żywności dla wszystkich i tak dobre jedzenie, jak nigdy. P. Kasten dawał mi wszystko, o co tylko prosiłam. Siostry, które od nas odjeżdżały otrzymały wszystkie jeszcze całe worki z produktami żywnościowymi.

Między tymi ludźmi z Warszawy było też dużo dzieci, które się poniewierały po mieście i do nas przychodziły na posiłek, bo u nas nie było miejsca na pomieszczenie wszystkich, gdyż osoby starsze zajęły pierwsze miejsca. S. Kazimiera na widok tych opuszczonych dzieci i naszej młodzieży nie dała mi spokoju, żeby wystarać się u władz, aby starsze osoby umieścić w Małszycach, a u nas wszystkie dzieci pozbiierać i nimi się zaopiekować. Nie była to tak łatwa sprawa, bo miałam już wezwanie przez wicestarostę do magistratu w sprawie tych ludzi, których przyjął do klasztoru wbrew zakazowi. A o tym, żeby dzieci u nas umieścić nie chciał p. Wentzky wicestarosta i burmistrz nawet słuchać. Ale nasza s. Kazimiera nie dała mi spokoju. Wprost dzień i noc o to błagała, więc co tu było robić. Przyszła p. Kaniowska do mnie i napisałyśmy list z prośbą do samego starosty z pominięciem p. Wentzky'ego wicestarosty i burmistrza. I rano poszła z tym listem p. Kaniowska do starosty, który naszą prośbę przychylnie załatwił z tym, że miałam później wymówki od wicestarosty. Można sobie wyobrazić radość s. Kazimieri no i naszą też.

Teraz zaczęła się dopiero praca. Tej dzieciarni było około 150 w wieku od 6 do 16 lat i wszystko prawie nagie, brudne, pełne owadów i świerzbu. Na salach parę łózek z desek piętrowych, sienniki papierowe i kilka starych kocy. Co do żywności było trochę łatwiej, bo p. Kasten przydzielał bułki, mleko, mięso, chleb i inne produkty żywnościowe. Tak, ale trzeba było to wszystko do domu przywieźć i zapłacić. Najprzód trzeba było pomyśleć, żeby te dzieci wszystkie umyć, oczyścić z owadów i świerzbu wyleczyć. Nie potrafię tego wyrazić, ani opisać ile tu s. Kazimiera z s. Teresą ze siebie dały tym dzieciom. Patrzyłam z zachwytem i zdumieniem na ich poświęcenie i oddanie siebie tym dzieciom, tej młodzieży. Do takiego poświęcenia jest tylko katolicka zakonnica zdolna. Pan Bóg im już w tym życiu to ich bezinteresowne i heroiczne poświęcenie wynagradzał tak, że miały chwile radosne, a z niektórych dziewczynek dużo pociechy. Dzięki niestrudżonym prośbom, naleganiom i staraniom s. Kazimieri powstał u nas Dom Dziecka, który dotąd przetrwał, tj. do roku 1955. Pomimo różnych trudności, niezycżliwo-

ści i zazdrości niektórych osób jest tylko inna nazwa, zamiast Dom Dziecka to Bursa pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka [Jezus]. Wszystkie koleje Domu Dziecka i Bursy nie będę opisywać. To na pewno ktoś inny opisze. Wspomnę tu tylko o jednej z tych dziewczynek naszej podopiecznej Krystynie Krasnowskiej⁵⁷, a obecnie s. Beacie od Matki Boskiej Nieustającej Opieki.

słowa kluczowe: bernardynki, Łowicz, II wojna światowa, powstanie warszawskie, Dom Dziecka

ANEKS/ANNEXE

(zdjęcia ze zbiorów klasztoru bernardynek w Łowiczu/ Photos from the collection of the Bernardine Sisters Convent in Łowicz)



Fot. 1. Klasztor i kościół sióstr bernardynek w Łowiczu w latach 30. XX wieku/
Photo 1. The Bernardine Sisters Convent and Church in Łowicz in the 1930s.

⁵⁷ Beata Krystyna Krasnowska urodziła się 16 VI 1928 r. w Łomży. Od najmłodszych lat mieszkała w Warszawie. W Powstaniu Warszawskim straciła rodziców i rodzeństwo, a sama ciężko ranna trafiła do szpitala w Milanówku. Ze szpitala dostała się do Łowicza do domu dla wojennych sierot zorganizowanego przez bernardynki. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego wstąpiła do zakonu bernardynek w Łowiczu. Habit zakonny przyjęła 30 III 1948 r., pierwsze śluby złożyła 30 V 1949 r., a wieczyste 8 VI 1952 r. Z polecenia przełożonej podjęła studia teologiczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wieńcząc je pracą magisterską na temat ojcostwa św. Józefa. Przez wiele lat pełniła funkcję mistrzyni nowicjatu. Przez 23 lata była sekretarką Federacji Sióstr Bernardynek w Polsce. Ostatnie 15 lat życia spędziła w chorobie, przykuta do łóżka. Zmarła 5 II 2008. Oprac. Amata Hartman OSFB.



Fot. 2. Klasztor łowickich bernardynek z uszkodzeniami po działaniach wojennych/
Photo 2. The damaged Bernardine Sisters Convent in Łowicz after the war.



Fot. 3. Bernardynki łowickie przed zniszczonym działaniami wojennymi klasztorem/
Photo 3. The Bernardine Sisters from Łowicz in front of the war damaged convent



Fot. 4. Portret m. Weroniki, autorstwa współsiostry/
Photo 4. Sister Weronika's portrait painted by her fellow sister.



Fot 5. M. S. Weronika z dziećmi w latach 40. XX wieku/
Photo 5. Sister Weronika with children in the 1940s.



Fot. 6. Łowickie bernardynki z pomocą świeckich pań przygotowują posiłki dla osób poszkodowanych przez wojnę/

Photo 6. The Bernardine Sisters from Łowicz, with the help of lay women, are preparing meals for people affected by war.



Fot. 7. Kolejka po posiłek u bernardynek w czasie wojny/

Photo 7. A queue for a meal at the Bernardine Sisters' during the war.



Fot. 8. Łowickie bernardynki rozdają przed klasztorem paczki żywnościowe/
Photo 8. The Bernardine Sisters from Łowicz are distributing food parcels in front of the convent.



Fot. 9. Wojenne wychowanki sierocińca przy klasztorze łowickich bernardynek. S. Weronika Kempa (w okularach), s. Kazimiera Kret, obok niej w bluzce w kratkę Krystyna Krasnowska (późniejsza s. Beata)/

Photo 9. War foster children from the convent orphanage run by the Bernardine Sisters. Sister Weronika Kempa (with glasses), Sister Kazimiera Kret, next to her in a checked shirt Krystyna Krasnowska (later Sister Beata).

**MEMOIRS OF BERNARDINE SISTER WERONIKA KEMPA
FROM THE PERIOD OF WORLD WAR II**

Summary

During World War II, the Bernardine Sisters from Łowicz were involved in intense charitable activities. In the September campaign during the Battle of Bzura, the Bernardine Sisters Convent was transformed into a hospital. Sisters organized beds for patients, underwear, bedding and food. They helped Polish officers imprisoned in Blich (the district of Łowicz) and those who waited for the deportation to Germany. They also provided assistance to the Jews from the ghetto of Łowicz. In 1944 they freed 150 children exported from Warsaw to Germany after the Warsaw Uprising and took them to the convent. There, they organized an orphanage for children who lost parents in the war. The person who was especially involved in that kind of activity was Weronika Kempa, the author of the memoirs of that time.

Keywords: Bernardine Sisters, Łowicz, World War II, Warsaw Uprising, orphanage

Translated by Aneta Kiper